

B 765325

I



# REINEKE-LIS

POEMAT SATYRYCZNY GOETHEGO

W DWUNASTU PIEŚNIACH,

Z DWUDZIESTU DRZEWORYTAMI,

PODLUG KAULBACHA.

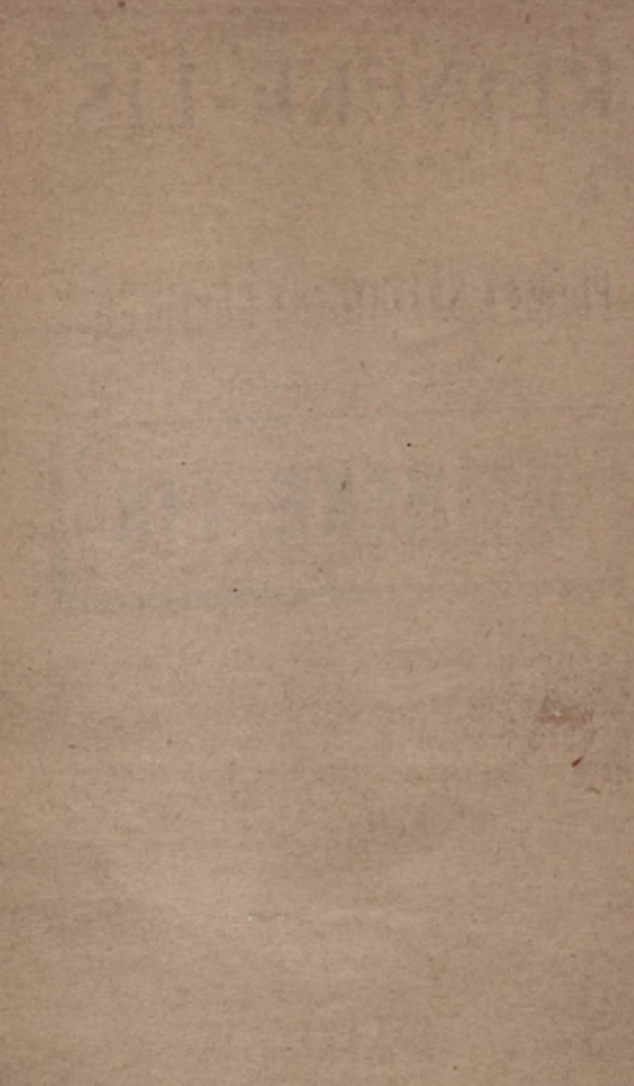
OPRACOWAŁ SZEŚCIOMIAREM (HEKSAMETREM) POLSKIM.

LUDWIG JENIKE.

niwiejszą książką  
wzbogacił zbiory Uniwersytetu Jagiellońskiego  
Szymon Stanisław Deptuła  
emigrant z Polski

**REINEKE - LIS**

*See also p. 173*



# REINEKE=LIS

[Reinecke - Fuchs]

---

## POEMAT SATYRYCZNY GOETHEGO

W DWUNASTU PIEŚNIACH

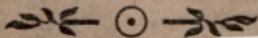
z Dwudziestu Drzeworytami

PODŁUG KAULBACHA.

---

PRACOWAŁ SZEŚCIOMIAREM (HEKSAMETREM) POLSKIM

Ludwik Jenike



1910

Biblioteka Jagiell



100259371



B 765.325

—  
1  
2N

## SŁOWO WSTĘPNE TŁOMACZA.

Stare podanie ludowe o lisie **Reineke** (po dolno-niemiecku **Raginhoart**, "silny w radzie," w formie ściągniętej **Reinhart**, zdrobniale **Reineke**, po niderlandzku **Reinaert**, po francusku **Renard**), znane u wszystkich prawie ludów szczepu indo-europejskiego, obrazuje w zarysach satyry ogólny bieg rzeczy na świecie, w szczególności zaś ideę stopniowego przechodzenia potęgi fizycznej w stadium dyplomacyi.

Wilk, przedstawiciel brutalnej siły, z początku jest górą nad lisem, przedstawicielem zręczności. W otoczeniu lwa-króla nieustanna wrewalka między temi dwoma odwiecznemi stronnictwami, z których każde chce panować, jedno teroryzmem, drugie podstępem i chytrością. Że drugie pokonywa pierwsze, zgodne to z naturą rzeczy, inteligencya bowiem potężniejszą nieraz bywa od siły fizycznej.

Oba te jednak stronnictwa, w ostatecznych swych dążeniach, przedstawiają się ze strony ujemnej, jedno zamieniając władzę w przemoc uciskającą, drugie przeistaczając rozum w zdradliwą przebiegłość. W końcu **Reineke** zwycięża i otrzymuje godność najwyższą kancлера państwa; dyplomacya raz jeszcze staje się narzędziem, w którym monarchia absolutna szuka ocalenia.

Zasadniczą więc treścią poematu jest myśl, że minęła epoka przewagi siły materialnej, a następuje panowanie zręczności dyplomatycznej; a dalej widnieje w nim prawda odwieczna, że w życiu dworskim tylko powodzenie licznych jedna stronników i przyjaciół. Ostatnia ta myśl po wszystkie czasy była i będzie pewnikiem niezachwianym; pierwszej niedawne wypadki na politycznej widowni Europy wymownie bardzo zaprzeczyły, dając dowód, że dyplomacya koniecznie opierać się powinna na potęgę orężnej.

Może nawet chwila (rok 1793), w której Goethe swego *Reineke-lisa* opracował, nie była przypadkową. Toć to epoka upadku we Francyi królewskości, która dyplomatycznemi tylko zabiegami byt swój do czasu przeciągnąć zdołała. Analogia aż nadto tu widoczna i mogła właśnie w tym razie spowodować wybór poety.

Sam Goethe, obecny w r. 1793 przy oblężeniu Moguncyi przez generała pruskiego hrabiego Kalkreutha, tak o tem pisze:

“Pragnąc otrząsnąć się z przykrych tych wrażeń (poeta ma tu na myśli katastrofy rewolucyi francuskiej i świeżą śmierć Ludwika XVI), skłonny byłem świat cały uznać za nikczemny, i właśnie wtedy wpadł mi w ręce **Reineke lis**. Przygnębiony wstrętnemi gwałtami ulicznego motłochu, z przyjemnością zająrzałem do tego zwierciadła życia dworskiego i książęcego; bo chociaż i tu, pod pokrywą



zwierzęcą, wyraźnie znać ludzi ułomnych, jednak wszystko odbywa się tak jakoś gładko i wesoło, że dobry humor ani razu nie zostaje zakłóconym. Zaraz też zacząłem pięknie to dzieło odtwarzać heksametrami.” — I dalej:

“Praca około obrobienia tej **nieświętej biblii świata** niemało przynosiła mi pociechy i radości. Zabrałem ją ze sobą pod Moguncyę, uważając to zarazem za dobrą sposobność wprawienia się w pisanie heksametrów, rozumie się tylko według słuchu.....” (to znaczy według akcentu).

---

“Baśń zwierzęca—mówi Vilmar w swojej Historji literatury niemieckiej—powstać tylko mogła w łonie narodów pierwotnych, żyjących w niezakłóconej jeszcze zgodzie z przyrodą, w czasie gdy rzeczywistość odpowiadała poniekąd owym stosunkom ze światem zwierzęcym, w baśni opowiedzianym; gdy czynności pasterskie i łowieckie zaprzętały życie ludów; gdy nie tylko lasy i pola pełne były zwierzyny, lecz nadto wiara prostacza widziała w wilku żarłocznym równo uprawnionego niejako z człowiekiem pana trzody, w srogim zaś niedźwiedziu niezaprzeczonego władzcę lasów. Ztąd zwierzętom tym, obok ich nazw właściwych, nadawano jeszcze i ludzkie. Myśliwiec zresztą lub pasterz dlatego z tymi puszcza mieszkańcami pragnęli żyć w przyjaźni, że napelniała ich

zgrozą wiara w demony, zaklęte w ciała zwierząt. Rzeszę leśną uważano wtedy za coś więcej, niż za stworzenia poddane panowaniu ludzkiemu; upatrywano w niej wcielenie złowrogiej potęgi, wzmożonej jeszcze czarami, której ani siłą fizyczną, ani rozumem zmódcz nie było można.''

Źródłem przeto baśni zwierzęcej była trwożliwa cześć owa, z jaką ludy pierwotne spoglądały na tę część świata zwierzęcego, która, zostając w stanie dzikości, tem samem nie podlegała ich władzy. Rzeczywiście, życie i zwyczaje tych stworzeń szerokie przedstawiały pole do zabobonów i wierzeń tajemniczych. Bajecznie długie, według powszechnego mniemania, życie mieszkańców leśnych; zagadkowa ich śmierć (bo rzadko bardzo znaleźć można padła zwierzęce); wiara ogólna, że zwierzęta, a zwłaszcza ptaki, mają swoją mowę, niezrozumiałą wprawdzie dla ludzi pospolitych, lecz odsłaniającą wtajemniczonym nadziemskie jakieś cuda; że bogowie i czarnoksiężnicy posiadają możność oblekania się w kształty zwierzęce i chodzenia tak po świecie; przekonanie wreszcie o emigracyi dusz i uzdolnieniu zwierząt do objawiania ludziom wyroków nieba—wszystko to musiało popęd epicki narodów młodzieńczych skierować ku postawieniu baśni zwierzęcej obok pieśni o czynach bohaterów i obok podań mitologicznych.

Całkowicie jednak epickie obrobienie otrzy-

mała ona dopiero pod koniec wieku XV w Niderlandach, w poemacie nieznanego autora p. t. "De hystorie van Reinaert de Vos" (1479), który wkrótce przełożony został na język angielski przez Caxtona i na niemiecki przez Barkhusena, pisarza miejskiego i drukarza w Rostocku. Ostatnia ta, znakomita w swym rodzaju praca, wielokrotnie później była przerabianą, jak przez Gottscheda (1752), Goethego (1793), Bredowa (1798), Soltau'a (1803), Schellera (1825), Fallerslebena (1834), Simrocka (1845—52); żaden jednak z tych pisarzy nie ośmielił się odstąpić od głównej treści poematu pierwotnego, ograniczając się tylko na niektórych zmianach w formie zewnętrznej, a zwłaszcza w wierszowaniu.

Goethe, używszy w opracowaniu swoim heksametrów, zbliżył tym sposobem "Reineke-lisa" do formy epopei starożytnej, treść jednak, oprócz niektórych aluzyj do wypadków bieżących, pozostała u niego niezmienną. Samo atoli już imię wielkiego wieszczka uczyniło ten poemat rozgłośnym i popularnym w całym świecie cywilizowanym, a wziętość jego powiększyły jeszcze znakomite rysunki, które mistrz taki jak Kaulbach doń dorobił.

W języku polskim nie mieliśmy dotąd przekładu Goethowskiego Reineke-lisa. Wprawdzie w r. 1860 wyszedł we Lwowie bezimiennie poemat w dwunastu pieśniach p. t. "Lis Mykita," który, według przedślowia tłumacza czy autora

(bo niewiadomo jak go nazwać), ma być spolszczeniem powieści o lisie Goethe'go; nie jest to jednak przekład, ale zupełna przeróbka materiału niemieckiego na polskie kopyto, dokonana dość zręcznie, ale zbyt mało mająca podobieństwo z oryginałem.

Co do mnie, nie krępując się bynajmniej dosłownością przekładu, usiłowałem jednak zachować jaknajwierniej **charakter ogólny** pierwowzoru. Musiałem tylko opuścić lub złagodzić niektóre ustępy, zbyt jaskrawe pod względem obyczajowym, lub zdolne obrazić pojęcia, od wieków w narodzie naszym zaszczipione, czego nikt zapewne za złe mi nie poczyta. Pod względem dykcji, starając się przedewszystkiem o swobodę i dosadność, gdzie tego zachodziła potrzeba, stawiałem sobie w ustępach trudniejszych pytanie: jakby też Goethe w tem miejscu był się wyraził, gdyby pisał po polsku? Jest-to, zdaniem mojem, najwłaściwsze kryterjum dla każdego tłumacza, pragnącego zachować swobodę słowa i uniknąć niewolniczego trzymania się swego wzoru, a jednak nie odstąpić w niczem od jego ducha. Formę zachowałem tę samą, jaką poeta niemiecki nadał oryginałowi; dopełniłem więc przekładu heksametrami polskimi, pod względem budowy których odwołuję się do tego, com napisał obszernie we wstępie do wydanego przed kilku laty tłumaczenia "Hermana i Doroty" Goethe'go.

~ Ludwik Jenike.

## PIEŚŃ PIERWSZA.

Świątki Zielone nadeszły... odżyły pola i lasy;  
Rzesza ptaków wesoło świergoce po krzakach  
i drzewach;

Niwy runią pokryte; wonieją rozkoszne doliny;  
Niebo pogodą jaśnieje, a ziemia barwi się kwie-  
ciem.

Nobilis-lew, król zwierząt, gromadzi dwór i wa-  
sali;

Wszyscy śpieszą tam tłumnie, z przepychem  
i sumptem niemałym:

Czujniś-żóraw, i sójka, i inni lennicy dostojni;  
Bo zamierza dziś król, z orszakiem swoich ba-  
ronów,

Radę złożyć u dworu; więc wszystkich zwołać  
rozkazał,

Wielkich i małych zarówno, na wiec uroczysty  
i walny.

Braknąć nie miało nikogo, a przecież zabrakło  
jednego.

Reineke, frant nielada, co wiele nabroił kryjo-  
mo,

Stroni rozmyślnie od dworu.—Jak zdrożne su-  
mienie się lęka

Dnia i światła, tak lis się lękał zebranych na  
wiece.

Wszyscy sarkali na niego, bo wszystkim też dał  
się we znaki,  
Prócz Kosmacza-borsuka, co krewnym był mu  
po siostrze.

Tedy Srogosz się wilk odezwał pierwszy ze  
skargą;

W gronie licznych a wiernych przyjaciół, z rze-  
szą swojaków,

Stanął przed królem i rzekł te słowa z powagą  
sądową:

Panie mój najlaskawszy! wysłuchaj sługę swo-  
jego!

Wielki jesteś i mądry, zarówno wszystkim wy-  
mierzasz

Sprawiedliwość i laskę; więc pożał się mojej  
niedoli,

Bo mi Reineke-lis wyrządził hańbę niemalą:

Żonę moję znieważa, a dzieci podstępnie kale-  
czy.

Wprawdzie jego sprośności tajemne już dawno  
wykryto,

Lecz gdy stanąć mu przyszło przed sądem, on  
uciekł niecnota.

Wiedzą o tem dostojni mężowie, zebrani tu  
w koło.

Panie! wszystkich tych obelg wypisać niktby  
nie zdołał

I na skórze wołowej, więc wolę zamilczeć już  
o nich.



Nobilis-lew, król zwierząt, zgromadzi dwór i wasali....

Ale gryzie mi serce zniewaga mojej niewiasty;  
Co się stanie, to stanie, lecz pomścić koniecznie  
ją muszę!

Gdy tak Srogosz przemówił do króla, poważny  
i smutny,

Wiernuś-piesek wystąpił i prawil o swoim ubó-  
stwie,

Że mu tylko pozostał kawałek kielbasy na zimę,  
Który Reineke porwał.—I wnet też wyskoczył  
kot-Miluś,

Gniewnie sierść najeżywszy, i rzekł: Potężny  
monarcho!

Co tu skargi pomogą? Toć on nam wszystkim  
doskwierzył,

Nawet tobie, o panie! bo każdy więcej się boi  
Reinekego, niż ciebie; lecz żale Wiernusia są  
płonne.

Najprzód sprawa to dawna, a potem owa kiel-  
basa

Była moją, nie jego: zdobyłem ją niegdyś we  
młynie.

Znów pantera zaczęła: Ten lis, to rabuś i zbój-  
ca!

Gotów wszystkich obedrzeć ze czci, bodajby  
i króla,

Byle na tem zarobić choć kawał tłustego kapło-  
na.

Posłuchajcie, jak sobie postąpił z Dobrutką-  
zającem;



Oto stoi pocziwiec, co nigdy nie skrzywdził  
nikogo,

Reineke udał świętoszka i rzekł że chce go wy-  
czyć

Różnych pieśni nabożnych; lecz ledwo zaczęli  
śpiewanie,

Już go capnął za kark i targał zanego kolegę?  
Jam szła właśnie ulicą, a słysząc, że śpiewy przer-  
wali,

Zaraz przybiegłam na miejsce: już trzymał Do-  
brutkę za gardło;

Gdyby nie wdanie się moje, to byłby go zdusił  
niechybnie.

Patrzcie, jeszcze z ran jego ocieka krew nie-  
zakrzepła!

Jeśli ścierpisz to, królu, i wy, dostojni pano-  
wie,

Jeśli się na to zgodzicie, by glejt i prawo kró-  
lewskie

Nędznik ten deptał nogami, to kiedyś słusznie  
wam ludzie,

Wam i waszym potomkom, wyrzucą tak niecne  
tchórzostwo.

Jeszcze raz ozwał się Srogosz: O, bodaj prze-  
padł, niecnota!

Gdyby nie żył, zaprawdę, to byłoby lepiej na  
świecie.

Ale jeśli się teraz przepuści te jego występki,  
To nie będzie już końca i miary haniebnym na-  
paściom.

Wtedy głosu zażądał szlachetny borsuk, zwan  
Kosmacz,

Prawda to, rzekł, odwieczna, mój mości sąsie  
dzie Srogoszu,

Że nie służy nikomu świadectwo wyszłe z ust  
wroga.

Tak i Reineke-lis, wujaszek mój, uległ potwa  
rzy;

Ale gdyby tu przybył i łaskę znów posiadał mo  
narchy,

Kością w gardleby wam stanęły te wszystkie  
ambaje.

Stare dzieje wznawiacie, a o tem milczycie, mój  
mości,

Jakie samiście krzywdy zarządzali mojemu wu  
jowi.

Wszak wiadomo powszechnie, że sojusz zawar  
liście z sobą,

By się dzielić zdobyczą; tymczasem wypadło  
inaczej.

Zeszłej zimy naprzykład wujaszek się mocno  
naraził

Dla przyjaźni waszeci. Na furze woźnica wioził  
ryby;

Wyście ucztę zwąchali i chętką was brała sko  
sztować,

Lecz nie było pieniędzy; więc wuj, konceptem  
ruszywszy,

Legł na drodze, jak martwy.... a była to sprawka  
zuchwała.

Gdy woźnica nadszedł i ujrzał lisa na ziemi,  
Dobył noża wielkiego i chciał go przebić na  
wylot;

Ale że się nie ruszał, położył go tylko na furę  
I pojechał, szczęśliwy, że znalazł futro tak pię-  
kne.

Wuj tymczasem nieznacznie wyciągał rybki  
i zrzucał,

A wilczysko, nadszedłszy cichaczem, zjadało  
je chciwie.

Gdy wujowi się jazda sprzykrzyła, zeskoczył  
na ziemię,

By posilić się także zdobyczą; lecz Srogosz mu  
tylko

Same ości zostawił i niemi częstował współnika.—  
Inne jeszcze zdarzenie, a również, przysięgam,  
prawdziwe.

Reineke wiedział, że gdzieś u chłopca wisi wieprz  
karminy,

Świeżo zarznięty, i rzekł do wilka: Podzielmy  
się społem

I zdobyczą i trudem. Lecz trud wuj poniósł  
sam jeden;

Bo wskoczywszy przez okno, wyrzucać począł  
mięsiwo,

Przyczem wkońcu go psy opadły i srodze po-  
gryzły.

Ledwo uciekł im z duszą; więc zaraz odszukał  
Srogosza.

I zażądał swej części, a wilk mu na to obłudnie:

Kmotrze, smaczny wam kąsek schowałem, spożyjcie go zdrowo.

I podsunął wujowi krzywulec drewniany, na którym

Rzeźnik wieprza powiesił.... lecz mięsa nie było i śladu.

Reineke zgrzytnął zębami i odszedł milczący a głodny.

Takich sprawek, o królu, ze sto mu Srogosz napłatał,

Ale zamilczam już o nich. Gdy wuj zostanie wezwany,

Sam się lepiej obroni. Tymczasem, władco potężny

I dostojni panowie, slyszeliście słowa Srogosza, Jak obwinia swą żonę. No prawda, kilka lat temu

Reineke z piękną wilczycą prowadził romansik pokątny,

Ależ ona się na to nie skarży wcale; więc poco

Takie rzeczy wywlekać, ze szkodą własnego honoru?

Teraz wartoż wspominać o bajce onej wierutnej,

Że Dobrutkę chciał zagryźć? Czyż mistrz nie powinien z urzędu

Karcić ucznia, gdy ten nie sprawia się bacznie i pilnie?

Gdyby chłopiąt nie gromić i patrzeć niedbale  
przez szpary

Na ich wszystkie wybryki, to w cóżby nam mło-  
dzież wyrosła!

Dalej Wiernuś się żali o nędzny kawałek kiel-  
basy;

Och, zamilczałby raczej, boć wiemy, że była skra-  
dziona,

Więc jak przyszła, tak poszła, i wuj najśluszej  
postąpił,

Że skradzioną rzecz zabrał: tak czynią szlache-  
tni mężowie.

Zresztą gdyby był nawet złodzieja powiesił  
doraźnie,

Nie tak bardzoby zgrzeszył; lecz wołał powstrzy-  
mać się z sądem,

Bo do władcy jedynie należą sprawy gardło-  
we.

Oj doprawdy, od chwili jak król manifestem  
ogłosił

Wieczny pokój w swych krajach, nikt skromniej  
od wuja nie żyje:

Jada tylko raz na dzień, co wieczór biczuje się  
srodze,

Nosi koszulę włosienną na gołym ciele, a mięsa  
Ani nawet się dotknie. Co więcej, opuszcza  
swój zamek

Maleparta i chce zbudować sobie pustelnię.

Wychudł biedak, jak szczapa!... Lecz sami  
go wkrótce ujrzycie,

Gdy się stawi przed królem, by prawdą zawsty-  
dzić swe wrogi.

Ledwo skończył przemowę, gdy nagle z wiel-  
kim lamentem

Kogut-Piejec się zjawił. Na marach przed  
nim niesiono

Młodą kurę bez głowy, najlepszą z nośnych ko-  
koszek,

Grzebka było jej imię, a krew jej Reineke prze-  
lał!

Więc z rodzicem zbolałym przybyło jeszcze  
dwóch braci

Uśmierconej niewiasty (najtęższe to były ko-  
guty

Z całej Rzeszy niemieckiej), wołając o pomstę  
do nieba.

Piejec rzekł do monarchy: Niesiemy przed tro-  
nu podnoże,

Królu, władco potężny, i żal swój, i boleść  
głęboką.

Racz zmiłować się, panie, nademną i mojem po-  
tomstwem!

Oto dzieło zbrodniarza!—Gdy ziemia odżyła  
nanowo,

Jam się z całym swym rodem radował wiosen-  
nej naturze.

Miałem córek czternaście, dziesięciu synów,  
a wszyscy

Pełni życia i sił; szlachetna moja niewiasta

Wysiedziała te lube dziecińy roku łońskiego.



Picjec rzekł do monarchy: Niesiemy przed tron twój żal srogi.

Nie zabrakło im ziarna, bo mieliśmy kurnik  
w klasztorze;

Księża byli bogaci, a od napaści nas bronił  
Mur wysoki, bronila i czujność pocziwych bry-  
tanów.

Ale Reineke-lis, obrzydłą złością wiedziony,  
Krażył nocą dokoła i czaił się zdrajca pod bra-  
mą,

Aż i psy go opadły i tęgo mu skórę złoily;  
Lecz ocalić się zdołał.—Przez miesiąc było spo-  
kojnie.

Nagle staje przedemną w pątnicznym stroju i z  
listem

Twoim, królu łaskawy (toż znam i pieczęć i pod-  
pis),

W którym głosisz wszem wobec, że odtąd w two-  
jej krainie

Pokój wieczny ma być pomiędzy zwierzęty  
wszelkiemi.

Więc mi Reineke rzekł, iż żyje samotnie w pu-  
stelni,

Za pokutę swych grzechów, do których się jaw-  
nie przyznaje;

Iż ślubował prócz tego nie jadać już mięsa do  
śmierci.

Potem pokazał mi szkaplerz i swoją koszulę  
włosienną.

Bogu wam, bracie, polecam, zawołał, mnie pil-  
no do domu.

I odchodząc, coś niby pobożnie czytał w hre-  
wiarzu,



Ale w duchu rozmyślał, niecnota, jakby nas zgubić.

Jam się sercem weselił i zaraz działwie kochanej  
Pośpieszyłem udzielić radosną dla wszystkich  
wiadomość.

Skoro Reineke został dewotem, to niema obawy.

Wyszliśmy tedy za mur swobodni, nie myśląc  
o zdradzie.

Lecz rozbójnik czatował za krzakiem i zabiegł  
nam drogę,

Rzeź straszliwą sprawiając wśród dziełek moich  
niewinnych.

Ledwo psy mu wydarły z pazurów trupa mej  
córki.

Oto leży przed wami. Ukarzcie panie zbrodnia-  
rza!

Na to król się odezwie: Posłuchaj mości Kosma-  
czu:

Tak to pości pustelnik i tak odbywa pokutę!  
Ale jakom jest lew, nie puszczę ja płazem tej  
zbrodni.

Córcie twojej, mój Piejcu, sprawimy pogrzeb  
wspaniały,

A złoczyńca nie ujdzie naszego sądu i kary.

Więc rozkazał monarcha wykopać dół i w nim  
złożyć

Martwe zwłoki kokoszy, a potem go pokryć  
marmurem,

Na powierzchni którego wyryte były te słowa:

“Grzebka tutaj spoczywa z koguta Piejca  
zrodzona;

Dużo jaj naznosiła i grzebać umiała wybornie.  
Padła biedna ofiarą mordercy Reineke-lisa.  
Niech świat cały wie o tem i wzgardą zbrodnia-  
rza okryje.”

Zaraz więc zwołał król najmędrszych panów  
swej rady,

Chcąc zasięgnąć ich zdania. Wypadło tedy,  
że trzeba

Kogoś wyprawić z rozkazem by zbrodzień się  
stawił przed sądem.

Mysia-niedźwiedzia wybrano na posła, a król  
mu powiada:

Bądź-że tylko ostrożny, bo Reineke zręczny  
i chytry,

Różnych wybiegów użyje, by ciebie okłamać  
i podejść.

Ale Myś zaufany w swój rozum rzecze: Nic  
z tego!

Knę się na Boga, że jeśli urągać mi zechce, to  
zdolam

Pomścić obelgę i tak uczynię..... jakom jest  
niedźwiedź!

---

## PIEŚŃ DRUGA.

Ruszył więc mądry Myś, zwracając swe kroki  
ku górom,

Przez piaszczystą pustynię, a gdy ją przebył na-  
reszcie,

Doszedł do kniei niewielkiej, gdzie Reineke  
zwykł był polować;

Ale niedźwiedź szedł dalej do zamku, kędy za  
mury

Lis się chronił zazwyczaj, gdy zwąchał, że kru-  
cha z nim sprawa.

Wrota były zamknięte; więc Myś przystanął,  
podumał,

I zawołał po chwili: Hej kmotrze! czyście u sie-  
bie?

Niedźwiedź-Myś do was przybył w poselstwie  
ważnem od króla.

Macie stanąć przed sądem i z czynów swoich  
zdać sprawę;

W razie przeciwnym król przysiągł, że śmiercią  
was skaze haniebną.

Pójdźcie ze mną kolego, bo opór na złe wam  
wyjdzie.

Reineke, słysząc te słowa, pomyślał: gdyby to  
można

Skarać tego niezdarcę za dumne jego wyrazy!

Lękał się tylko, czy poseł nie przywiódł zbroj-  
nych ze sobą;

Ale gdy się zapewnił, że niedźwiedź jest sam,  
bez pomocy,

Wyszedł z miną układną i rzekł: Wujaszku  
najdroższy,

Raczie darować mi zwłokę, bom zmawiał mo-  
dlitwy wieczorne.

Zawsze rad was oglądam, więc dzięki wam, że-  
ście przybyli,

Ale co to, u Boga spotnieliście, wuju kocha-  
ny,

I dyszycie okrutnie. Potrzebaż było królowi  
Męża tak poważnego wyprawiać w poselstwo  
tak znojne?

No, co prawda, jak dla mnie wypadło to arcy-  
szczęśliwie,

Gdyż będziecie mi mogli dopomódz u dworu,  
gdzie potwarz

Sławę mą szarpie straszliwie. Ruszymy tam  
jutro pospołu;

Dziś, Bóg widzi, nie mogę, bo zjadłem trochę  
zawiele

Strawy niezbyt przyjemnej i czuję gwałtowne  
boleści.—

Cóż to było, mój kmotrze? zapyta niedźwiedzia.

A na to

Lis mu rzecze: Doprawdy, niewarto powtarzać  
wujaszku.

Człek tu żyje mizernie i jeśli czasami nie znaj-  
dzie

Lepszej strawy, to musi poprzestać na plastrach  
miodowych,  
Których nie brak mu nigdy, lecz z biedy je tyl-  
ko polyka.

Co ja słyszę? zawołał Myś-niedźwiedź. Więc  
wy gardzicie  
Darem Bożym, dla innych ponętnym? Kmo-  
trze mój miły,  
Dla mnie nie masz jak miód! Starajcie się,  
abym go dostał,  
A od służę się wam czem innym.—Chyba to  
żarty,  
Rzecz Reineke-lis.—Nie, jakom żyw, zaklął  
się Bury,  
Mówię szczerze, co myślę.—Ha, kiedy tak,  
to wam służę,  
Odparł Rudy. W sąsiedztwie tu mieszka chłop,  
co ma barcie,  
A w nich miodu tak dużo, że pewnieście nigdy  
na kupie  
Tyle go nie widzieli.—Złakomil się Myś na te  
gody.  
Idźmy! wola.—Najchętniej, odpowie gospodarz,  
a ręczę,  
Że wam nie zbraknie łakoci. Choć dziś nie czuję  
się dobrze,  
Sił mi doda gorąca życzliwość dla was, wujaszku;  
Bo ze wszystkich mych krewnych najwięcej  
was kocham i cenię.

Pójdźmy! Aleć wy zato, gdy roki zostaną zwo-  
lane,

Brońcie mnie wpływem swym od złości mych nie-  
przyjaciół.

Syci dziś odejdziecie, zabrawszy co tylko się  
zmieści.

Za to rękę. (Frant myślał o razach chłop-  
stwa wściekłego).

Reineke przodem pośpieszył, a Myś na oślep  
szedł za nim.

Jeśli się uda, pomruczał gospodarz, to piwa gorz-  
kiego,

Zamiast miodu ci tu nawarzę, mości pyszałku.  
Późnym wieczorem stanęli przed chatą chłop-  
owego,

Który był cieślą. W podwórzu leżała kłoda  
dębowa,

Dwoma tęgimi klinami napoły już wzdłuż  
rozlupana.

Reineke powiódł tam Mysia i szepnął: Wuja-  
szku kochany,

Tu, w tej dziupli, znajdziecie obfitość miodu  
ogromną.

Wsuńcie głowę głęboko: lecz radzę wam, bądź-  
cie ostrożni,

By nie schwycić odrazu zawiele. — Czyżem ja  
żarłok?

Odparł niedźwiedź z urazą. Zbawienna we  
wszystkiem jest miara.



Oto cieśla nadchodzi, by smaczną biesiadę czemiś pieprznem zakropić.

I skuszony łakomstwem, wpakował leb aż po  
uszy

W kłody szeroką szczelinę, i przednie też wsunął  
w nią łapy.

Lis tymczasem zębami wyciągnął kliny i My-  
sia

Schwycił w kleszcze. Zaryczał z boleści zwier-  
uwięziony,

Targa głową napróżno i wierzga tylnemi ła-  
pami;

Aż na straszny ten hałas obudził się cieśla i wy-  
biegł,

Uzbrojony toporem od wszelkiej napaści przy-  
godnej.

Bury w mękach piekielnych się wije i kręci  
napróżno;

Kłoda tak silnie go ściska, że ujść już nie ma na-  
dziei;

Reineke myślał to samo; więc rzekł szyderczo:  
Wujaszku!

Jakże miodek? wszak słodki? Nie jedzcie tyl-  
ko za wiele.

Oto cieśla nadchodzi, by smaczną i sutą bie-  
siadę

Czemciś pieprznem zakropić. Niech wam to  
posłuży na zdrowie!

I rzuciwszy te słowa, zawrócił do zamku swo-  
jego.

Chłop tymczasem, zoczywszy jak Bury miota  
się w matni,



Zwołał sąsiadów, co jeszcze się piwem raczyli  
w oberży.

Pójdźcie! wołał, na mojem podwórzu niedź-  
wiedź się złapał!

Więc się każdy uzbroił, jak mógł: ten chwyta  
za widły,

Ów za grabie, a trzeci i czwarty za kół, lub za  
cepy.

Wybiegł nawet i proboszcz, wybiegła i jego ka-  
charka,

Z różnem w ręku, by nim zgarbować skórę wię-  
źniowi.

Słyszając hałas rosnący, Myś szarpnął łbem roz-  
paczliwie

I wydobył go z kleszczy, z odartą skórą po  
uszy;

Lecz nic na tem nie zyskał, bo łapy zostały  
w szczelinie,

A gdy wyrwał gwałtownie i te, postradał pa-  
zury

Razem z sierścią. Zaiste, nie była to słodycz  
miodowa.

Krew mu ciekła po głowie i nogach. Ani stać  
nie mógł,

Ani łazić; a tu zbiegało się chłopstwo zawzięte,  
By uśmiercić biednego. Ten zdala drągiem go  
grzmotnął,

Drugi dzidą go dźgnął, a trzeci polechtał wi-  
dłami.

Za kucharką proboszcza wyległy i inne niewia-  
sty,

Dybiąc wraz z mężczyznami na życie Mysia  
rannego.

Wkońcu po łbie go kropnął potężną pałą brat  
cieśli,

Aż zatoczył się Bury; lecz wściekłość dodała  
mu siły:

Skoczył pomiędzy niewiasty i kilka z nich wtrą-  
cił do rzeki,

Która nurt swój głęboki toczyła tuż przy cha-  
łupie.

Krzyk się rozległ; rzucono niedźwiedzia, na  
poly martwego,

By ratować tonące, a Mysz tymczasem cichutko  
Podpełził chyłkiem do wody. Już wołał utopić  
się raczej,

Niżli zginąć haniebnie pod chłopów pijanych  
razami.

Pływać umiał nietęgo, lecz jakoś prąd go uno-  
sił.

Chłopi, zoczywszy go w rzece, sarkali że zdo-  
bycz im uszła

Z winy bab, co to zawsze nie w porę wtrącić  
się muszą

W sprawy wszelakie—a potem, gdy w kłodzie  
owej znaleźli

Szczątki skóry niedźwiedzia, naśmieli się z nie-  
go do syta.

Bury, płynąc, przeklinał i chłopów, i lisa-nie-  
cnotę.

Ból doskwierał mu straszny, lecz woda rany ob-  
myła,

Ulgę niosąc biednemu. Opoдал od miejsca  
przygody

Wylazł na ląd mozolnie i w gęstem skrył się  
sitowi i,

Rozmyślając o zdradzie nikczemnej lisa-krew-  
niaka,

Co go w sidła wprowadził, i knując zemstę na  
niego.

Ale Reineke-lis, wywiódłszy w pole wujaszka,  
Pobiegł wesoło na żer, w wiadomą sobie zagro-  
dę,

Schwycił kurę i schrupał, a potem napił się wody  
I wracając porzeczem, rozmyślał: Jakżem ja  
kontent,

Żem bałwana się tego na wieki pozbył fortelem!  
Chłop na dobre go musiał uraczyć toporem po  
karku.

Bury, choć-em go zwał wujaszkiem, był zawsze  
mym wrogiem,

Stając mi zdradą u dworu. No, teraz oddycham  
swobodniej!

Gdy tak, włócząc się, дума, posłyszał głucho  
mruczenie,

Zoczył niedźwiedzia w sitowiu i rzekł do siebie  
zgryźliwie:

Stchórzył podle chłopisko, nie miał z gratki  
skorzystać,

Chociaż niezwykle ma łup bez trudu wpadał  
sam w ręce.

Lecz spojrzawszy na Mysia, gdy dostrzegł w jak  
smutnym jest stanie:

Wujaszeczku! zawołał, nareszcie was tu odnaj-  
duję!

Czyście nie zapomnieli u chłopca-bartnika odzie-  
ży?

Gotówem donieść mu zaraz o miejscu waszego  
pobytu.

Jakże miód wam smakował i czyście nie zjedli  
za wiele!

Ale przebóg, co widzę! w jak dziwnym was stro-  
ju spotykam!

Co to znaczy, wujaszku, ten kołpak czerwony  
na głowie!

Ta łysina na czubie, jak gdyby ją balwierz wygo-  
lił!

Straciliście czuprynę i nawet skórę z policzków;  
Rękawiczek wam także zabrakło. Czy to za-  
płata

Za gościnę u cieśli!?!—Tak szydził lis bez lito-  
ści.

Bury słuchał, lecz z bólu wymówić nie mógł  
ani słowa,

Dysząc niemą wściekłością; więc, by uniknąć  
urągań,



Czemże służyć ci moję? rzekł lis do kata-Milusia.

Wlaził napowrót do wody i prąd go uniósł nieba-  
wem

Ku brzegowi drugiemu. Tam leżał na piasku  
schorzały

I zlorzeczył lisowi, i pragnął amrzeć coprędzej.  
Jakże dowlec się mi, pomyślał, do kresu podróży  
I jak w takim się stanie haniebnym pokazać u  
dworu?

Jeśli życie zachowam, to biada tobie, ty lotrze?....  
Porwał się potem na nogi i mimo boleści stra-  
szliwych,

Przez dni cztery i nocy zaczął się wreszcie  
do domu.

Gdy król ujrzał niedźwiedzia, zawołał: Co się to  
stało?

Kto śmiał posła mojego znieważać?—Na to Myś  
rzecze:

Wiedz, dostojny monarcho, że sprawa to Reine-  
ke-lisa.

Ale król mu odpowie: Pomszczoną będzie twa  
krzywda!

Jakom żyw, nie daruję złoczyńcy takiej czel-  
ności.

Miecza nosić ten nie wart, kto puszcza płazem  
bezprawie.

I powołał znów król na wiece panów korony.

Wszyscy zgodnie radzili zawezwać lisa powtór-  
nie,

By się stawil przed sądem, i zaraz wyprawić  
do niego

Kotka-Milusia w poselstwie, boć rycerz to zrę-  
czny i zwinny.

Król do zdania się starszych przyłączył i rzekł  
do Milusia:

Uczyń jak uchwalono, a jeśli się zbrodzień nie  
stawi,

To niech z całym swym rodem na wieki klątwie  
podpadnie.

Ostrzeż go o tem poufnie i niech się z tobą wy-  
bierze;

Innych radą on gardzi, lecz twojej, że mądra  
asłucha.

Ale Miluś mu na to: Nie do mnie należy roz-  
trząsać,

Co jest dobre lub złe, gdy rozkaz wydaje monar-  
cha;

Jednak śmiem zauważyć, że lepiejby wysłać in-  
nego,

Bom ja drobny i wątły. Wszak niedźwiedz, ta-  
ki personat,

A nie zdołał zmódz lisa; cóż ja biedaczek pora-  
dzę?

Nie przekonasz mnie waszeć, odpowie król.  
Toć wiadomo,

Że i w drobnem się ciele potężny duch nieraz  
mieści.

Prawda, żeś nie olbrzym, lecz jesteś układny  
i sprytny.

Zrób com kazał.—Więc Miłós głęboko królowi  
się skłonił.

Woli twojej ulegam, zawołał, i jeśli przy wyjściu  
Dobra wróżba mię spotka na prawo od drogi,  
to tuszę

Że się podróż powiedzie i że powrócę z niej cały.

---



## PIEŚŃ TRZECIA.

Ledwo Miluś wyruszył, gdy ujrzał zdala skowronka.

Ptaszku kochany, zawołał, zwróć skrzydła i poleć na prawo!

Ale skowronek zatoczył się kołem i usiadł na lewo.

Kota zła wróżba zmartwiła, lecz wmawiał sam w siebie odwagę,

I tak ciągnąc leniwo, dociągnął nareszcie do celu.

Reineke siedział przed bramą; więc pozdrowiłszy go, rzecze;

Dobry wieczór, k izynie! Szczęść Boże waszemu domowi!

Król was wzywa przezemnie i każe wam stanąć przed sądem.

Na to lis się odezwie: Ha, witaj siostrzeńcze najdroższy!

Błagam nieba, by na cię wszelakie dobro zlewało.

(Tak przemawiał słowami, lecz w myśli pragnął niecnota,

Pozbyć się postła zdradziecko, choć mienił go swoim siostrzanem).

Czemże służyć ci mogę? rzekł dalej, boć to z waszeci

Rzadki bardzo gość u mnie, a szkoda, bo lubię  
cię szczerze.

Żarłok-niedźwiedź niedawno dokuczył mi swo-  
jem grabiaństwem,

Przytem siłacz to wielki, z nim w drodze być  
niebezpiecznie;

Ale z tobą, Bóg widzi, najchętniej jutro wyru-  
szę.

Wolałbym zaraz się wybrać, odpowie Miluś.  
Noc widna,

Drogi sache i równe, więc szkoda czasu, kuzy-  
nie.

Noc nie sprzyja podróżnym, odrzeczcie lis. Nie-  
raz taki,

Co uprzejmie nas wita w dzień biały pociemku  
obedrze.

Zjemy razem wieczerzę. Człek żyje nędznie  
co prawda,

Ale by cię ugościć, zastawię dziś kluski na mio-  
dzie.

To nie moja potrawa, odmruknie kot. Jeśli  
w domu

Pusta u was spiżarnia, niech chociaż z myszka-  
mi się zdybię;

Lepiej mi one smakują, niż nawet drób i zwie-  
rzyna.

Skoro taka twa wola, rzekł Reineke, to ci do-  
godzę.

Obok w stodole u księdza jest myszy moc taka  
wielka,

Że nie wywiózłby ich furami; tam się uraczysz.

Milusi niebaczny uwierzył. Więc poszli razem  
i wkrótce

Przy stodole stanęli, gdzie lis podkopał się wczoraj

I tłustego kuraka z dzięciorka zręcznie pochwycił;

Ale ksiądz, gdy to spostrzegł, zastawił sidła  
w otworze.

Wiedział Reineke o tem i rzekł: Kochany siostrzanie,

Śmiało wleź przez tę jamę; ja stać tu będę na straży.

Znajdziesz tam myszy setkami: posłuchaj jak piszczą wesolo!

A gdy głód już nasycisz, to wyjdź. Nie pójdę stąd krokiem.

Czy tu tylko bezpiecznie, kuzynka? Milusi odpowie,

Bo ludziska czasami stawają zwierzętom na zdradzie.

Ha, w istocie braciszka, uśmiechnął się lis pogardliwie,

Jeśliś taki ostrożny, to lepiej wracajmy do domu;

Tam żoneczka ci moja napewno zgotuje wierzę.

Na te słowa szydercze kot żwawo skoczył do jamy

I uwikłał się w sidła. Gdy uczuł powróż na  
szyi,

Począł szarpać się wściekle i silniej zadzierz-  
gnął pętlicę.

Lis tymczasem podstąpił. No, jakże tam my-  
szy? zapytał;

Mi są być tłuste i smaczne. Ha, gdyby ksiądz  
o tem wiedział,

Że mu wyławiasz zwierzynę, to dałby ci chę-  
tnie musztardy,

Bo to grzeczny człeczyna.—I rzekłszy, drapnął  
cichaczem.

Milus, w więzach splątany, użalał się kocim  
zwyczajem;

Ksiądz posłyszał miauczenie i szybko zerwał  
się z łoża.

Mam złodzieja! zawołał. Zapłacisz mi, łotrze,  
kuraka!

Więc pochwycił za kij, rozniecił światło i wy-  
biegł.

Gospodyni się także ocknęła i wyszła za panem.  
Hałas powstał piekielny; jak grad sypały się  
razy

Na nieszczęsne kocisko, bo ręki ksiądz nie ża-  
łował,

I łomocąc na oślep, niechcący oko mu wybił.

Milus jęknął boleśnie i wściekły skoczył z po-  
stronkiem

Na oprawcę swojego, kalecząc go mściwie i sro-  
dze.



Więc pochwycił go w lot i zdusił, aż pierze latało.

Ksiądz aż zemdlął z przestracchu i bólu. Poczęto  
go cucić,  
Zabaczywszy o kocie, co targal się w siłach  
bezsilnie.

Lecz gdy Miluś znękanym samotnym się ujrzał  
nareszcie,  
Począł z chęci do życia postronek obrabiać  
zębami,  
Aż go przegryzł powoli. Swobodny wybiegł  
na drogę.

I choć z okiem wybitem, powrócił cwałem do  
domu.

Król, gdy ujrzał posłańca, aż grzywę z gniewu  
najeżył

I nie wiedząc co czynić ze zdrajcą-lisem, sejm  
zwołał.

Więc zebrali się wnet przedniejsi doradcy ko-  
rony,

Rozprawiając szeroko i twierdząc, że iście na-  
leży

Śmiercią ukarać winnego. Wtem Kosmacz-  
borsak się ozwał:

Wielu widzę ja tutaj dostojnych mężów, co  
słusznie

Żywią w sercu ırazę głęboką do wuja mojego!  
Ale wszak prawo stanowi, iż pozwy trzykrotnie  
należy

Oskarżonym doręczać. Więc wnoszę, żeby go  
wezwać

Raz ostatni, a jeśli nie stanie, to skazać zaocznie.

Wątpię, rzecze mu król, by znalazł się jeszcze ktoś taki,

Coby narazić się chciał na stratę oka lub uszu. Miłe jest zdrowie każdemu, a z Reinekem trudna rozprawa.

Jeśli tak, borsuk zawoła, to ja się podejmę poselstwa;

Cosię stanie to stanie! Ha, kiedyś taki wrywny, Król odpowie, to idź! Słyszałeś wszystkie nań skargi.

Bądź-że tylko przezorny, bo wiesz, że zdradę knuć lubi.

Ruszył więc borsuk w drogę do Maleparty i zastał

Lisa z żoną i dziećmi.—Witajcie, wujaszku! zawołał.

Znacie mnie nie od dziś, zem zawsze życzliwy był dla was;

Ale pojąć nie mogę, iż mąż tak przezorny i mądry

Lekceważy rozkazy swojego monarchy. Doprawdy,

Lepiejby było już raz to skończyć. Król mi polecił

Wezwać was po raz trzeci do dworu, a gdy nie staniecie,

Wyrok ogłosi zaoczny. Wasale wtedy oblegną

Wasz zameczek obronny i życiem możecie przy-  
płacić

Upór niewczesny. Przed władzą nie schroni  
się nikt, a więc wolej

Pójdźcie ze mną, wujaszku. Wszak dzielny  
i zręczny z was mówca,

Argumentów nie zbraknie wam nigdy, a nieraz  
już przecie

Z gorszych nawet nierównie opalów wyszliście  
zwycięsko.

Dobrze radzisz, rzekł lis. Tak, trzeba się sta-  
wić u dworu

I obronić samemu. Toż król nie odmówi mi  
łaski,

Bo mu jestem potrzebny. Bezemnie dwór jego  
chorąje

Na bezradność zupełną. Gromadzą się wpraw-  
dzie panowie

I uczenie a pięknie o różnych prawią różno-  
ściach;

Lecz gdy radę wypadnie adzielić rozumną i zrę-  
czną,

Zawsze Reineke tylko ją znajdzie w swej głowie  
i poda.

To ich korci dyabelnie. A właśnie najgorsi  
z mych wrogów

Dziś zebrani przy królu, by szarpać i czernić  
mą sławę.

Jest ich przeszło dziesięciu, wpływowych i sil-  
nych. Czyż zdołam



Oprzeć się złości ich? Dlatego zwlekalem tak długo.

Jednak rozsądek mi każe iść raczej drogą pokory,

Niż hardością narazić i siebie, i żonę, i dzieci.  
Lew jest władcą potężnym, i wszystko cokolwiek rozkaże

Spełnić mi sżę koniecznie; więc lepiej spróbujmy układów.

Tedy żegnać się począł z rodziną i zlecił lisicy,  
Aby troskliwie czuwała nad dziećmi, zwłaszcza, młodszemi.

Potem puścili się w pochód.—Nie uszli jeszcze pół mili,

Gdy do współtowarzysza lis powie: Kochany kuzynie,

Wyznać ci muszę otwarcie, że trapi mię ciągle myśl przykra,

Iż mnie wkrótce śmierć czeka, i często przed okiem mi ducha

Stają widma mych grzechów, w szeregu zaiste niemałym.

Pragnę alżyć sumieniu, a że nie mamy tu księdza,

Więc przed tobą przynajmniej odbędę spowiedź w pokorze.

Zarzeknijcie się wprzód, rzekł Kosmacz, kradzieży i zdrady,

Bo inaczej i spowiedź nie przyda się na nic.—  
Wiem o tem,

Odparł Reineke-lis; posłuchaj tedy i osądź.

Niema prawie zwierzęcia, którego bym kiedy nie  
skrzywdził.

Wuja niedźwiedzia uwięził podstępnie w kło-  
dzie u cieśli,

Że aż skórę utracił i plag otrzymał tysiące.

Potem Milusia powiodłem na myszy, wiedząc  
iż w sidła

Popaść tam musi, i tak nie owak oka się po-  
zbył.

Piejec znowu użala się słusznie, żem dzieci mu  
zdusił.

Z żoną Srogosza miewałem pokątne stosunki mi-  
łosne,

Czego dziś szczerze żałuję. Co więcej, nawet  
królowi

Nieraz figle płałałem, o których może sam nie  
wie.

Oto wszystko co pomnę, co duszę moję obciąża.

Teraz mnie rozgrzesz, siostrzanie, pokutę przy-  
mując najcięższą.

Bersuk na to: Pokutą najlepszą są dobre uczyn-  
ki.

Módlcie się, wuju, ze skrucą, bywajcie często  
w kościele,

Postu nigdy nie łamcie, ubogim sypcie jałmu-  
żnę;

Lecz najbardziej się strzeżcie kradzieży, pod-  
stępu i gwałtu,

Jeśli łaskę przed Panem pragniecie pozyskać  
na wielki.

Tak mi Boże dopomóż! rzekł lis. Uczynię  
jak radzisz!

Spowiedź była skończoną. Ruszyli obaj przez  
pola

Ku stolicy królewskiej. Na prawo od ścieżki  
był klasztor,

W którym pobożne niewiasty jak mogły Boga  
chwały,

A w podwórzu klasztornem chowały drobiu ob-  
fitość;

Kury, koguty i tuczne kapłony niekiedy za ziar-  
nem

Wybiegały przed wrota. Więc mówi lis do bor-  
suka:

Droga najbliższa prowadzi na prawo, obok kla-  
sztoru.

Tam też poszli. Doszedłszy do miejsca gdzie  
kury grzebały,

Reineke zerknął ślepiami łapczywie. Za gron-  
kiem kokoszy

Kroczył zwolna i dumnie kogucik mały, lecz  
tłusty,

Dla miłośnika pulardy łakomy kąsek, zapraw-  
dę;

Więc pochwycił go w lot i zdusił, aż pierze la-  
tało.

Kosmacz na czyn tak haniebny oburzył się  
srodze i rzecze:

Tak to, wuju nieszczęsny, o ślubie swym pa-  
miętacie?

Godziż się grzeszyć nanowo po świeżo odbytej  
spowiedzi?

Piękna w istocie pokuta!—Lecz Reineke skrom-  
nie odpowie:

Krewkość mię moja uniosła, kochany siostrza-  
nie. Proś Boga,

By łaskawie ten grzech wybaczyć mi raczył.  
Przysięgam,

Że już nigdy się odtąd grabieżą żadną nie spla-  
mię.

Za klasztorem droż na przez kładkę wiodła na  
grobli.

Lis, co ujdzie dwa kroki, to głowę odwraca i pa-  
trzy

Wstecz na kury; darennie się z sobą pasuje i  
walczy:

Choćby mu łeb kto ściał, i lebby się jeszcze po-  
toczył

Ku tej stronie nęcącej, tak silna wrzała w nim  
żądza.

Gdy to spostrzegł towarzysz, zawołał: Kędy  
wujaszku

Ciągłe oczy zwracacie: Doprawdy, brzydki  
z was żarłok!

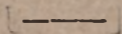
Ale Reineke-lis odpowie mu na to obłudnie:  
Milcz, bo zmawiam pacierze za dusze wszyst-  
kich mych ofiar,

Wszak powinność to święta—I już nie spuszcza  
z kur wzroku,

Póki widać je było.—Po długim krążeniu wró-  
cili

Na gościniec właściwy, zbliżając się zwawo do  
celu.

A gdy Reineke ujrzał opodal zamek Królewski,  
Strach mu osiadł na licu, bo ciężko był obwiniony.



## PIEŚŃ CZWARTA.

---

Gdy się u dworu zwiedziano, że lis naprawdę  
przybywa,

Wszyscy, wielcy i mali, wylegli, by go zobaczyć  
I powitać groźbami, bo miał nie wielu przyja-  
ciół.

Ale Reineke na to nie zdawał się zwracać uwa-  
gi,

Bo z borsukiem, swobodnie i śmiało krocząc  
ulicą,

Do pałacu się zuliżał, jak gdyby był równym  
monarsze,

I tak stanął przed królem i radą, na pozór spo-  
kojny.

Władzco rzeszy zwierzęcej, przemówił, szlache-  
tny piastunie

Cnót i dostojęństw wszelakich! Potężny je-  
steś i wielki,

Lecz łaskawy zarazem, więc błagam, racz mię  
wyслуchać!

Wierniejszego odemnie nie miałeś nigdy wasala,  
A że służba gorliwa zjednała mi względy wyso-  
kie

Waszej mości królewskiej, zazdrozczą mi tego  
wrogowie

I oczernić mnie pragną haniebnie przed moim  
monarchą.



Więc ze szczelbła drabiny odezwał się tak do narodu.

Ale Nobilis lew nie weźmie kłamstwa za prawdę,  
Oskarżonych zarówno wysłucha, jak i skarżących;  
Więc spokojnie tu staję, niewinna wierności ofiara.

Milcz! zawołał król gniewnie. Nie zdało się na nic pochlebstwo;  
Zbrodnie twoje są jawne i kara czeka cię za nie.  
Czyś nie naruszył pokoju, com w całej go rzeszy ogłosił?

Oto Piejec, któremu wydarłeś dziatek połowę.  
A jak bardzo mnie kochasz, to widać z tego, że śmiałeś

Posłów moich znieważać i mojej powadze urągać.

Biedny Myś do tej pory wylizać się z ran swych nie może;

Milus zdrowie utracił. Lecz na co marnować mam słowa?

Tu s trzywdzonych jest tłum, niech oni ze skargą wystąpią.

Miłościwy mój panie, odrzeczże lis, czy dlatego Mam już kary być godnym, iż wrogi na mnie nastają?

Moja-ż wina że Myś na miód się zlakomił, a potem,

Gdy go chłopci opadli, obronić się nawet nie umiał,



Chociaż jest duży i silny? No, albo i kot niepocziwy!

Tożem go wedle możności ugościł. Lecz darmo, przemogła

W nim złodziejska natura i mimo żem prosił, przestrzegał,

Poszedł na myszy do księdza. Doprawdy, za cudze zdrożności

Odpowiadać nie mogę, to rzecz tak jasna, jak słońce.

Jednak, królu i panie, poddaję się twoim wyrokom;

Choćbyś na śmierć mię skazał, pod miecz oddam głowę z pokorą.

Bo twej władzy potężnej wszelakie zwierzę ulega;

Masz i prawo i siłę, więc któż ci się oprze z nas słabych?

Wtedy rozwarły się tłumy i wyszedł najprzód wilk-Srogosz,

Za nim kot Miluś i Myś, a dalej zajaczek-Do-brutko,

Piesek-Wiernuś, i osiel, i czart i kozieł, i baran Koń i buhaj, wiewiórka, łasica i inne pomniejsze

Potem lasów i pól mieszkańce: jelen i sarna

Dzik, i małpa, i bóbr, i bocian, i żuraw, i czapla.

Wkońcu na Piejca głos zleciały się jeszcze ptaszęta:

Kaczka i gęś, i gołąb, i nawet pieśniarz-skowronek.

Któż wyliczyćby zdołał tę mnogość stworzeń  
wszelakich?

A gdy razem stanęli przed królem, poczęła się  
wrzawa

Skarg i głosów zmieszanych. Zaprawdę, ni-  
gdy od wieków

Tyla naraz zażaleń nie było przed sądem kró-  
lewskim.

Reineke miny nie tracił i mową wytworną  
i płynną

Umiał tak zręcznie tłumaczyć czyny i swoje  
i cizde,

Że z pozoru on sam miał jeszcze prawo  
skarżyć.

Ale tylu poważnych i zacnych mężów świad-  
czyło

Przeciw lisowi, że mądre wybiegi nie zdały się  
na nic.

Wyrok zapadł tej treści: Pochwycić i związać  
zbrodniarza,

Aby nie uciekł z pod straży, a potem powiesić  
bez zwłoki.

Teraz i Reineke już uważał swą grę za przegra-  
ną;

Chytróść nic nie pomogła: sam król odczytał  
mu wyrok,

A wrogowie z tryumfem ku miejscu kary go  
wiedli.

Miał jednakże i lis stronników swoich niemało,

Którzy, srodze strapieni, że jeden z najpier-  
wszych baronów,

Nagle wyzuty z honoru i wszystkich zaszczy-  
tów doczesnych,

Zginąć miał śmiercią haniebną—poczęli sarkać,  
aż wreszcie

Borsuk-Kosmacz i małpa, i inni przedniejsi  
krewniacy

Tłumnie dwór opuścili, nie szczędząc niechęci  
objawów.

Więc korciło to króla, że tylu dostojnych ry-  
cerzy

W żalu z nim się rozstało, i rzekł do jednego  
z poufnych:

Wprawdzie Reineke-lis zawinił, lecz zważyć nam  
trzeba,

Że niecnota ten ma przyjaciół licznych u dworu.

Ale tymczasem wilk-Srogosz, i niedźwiedź-Myś,  
i kot-Miluś

Już powiedli przestępcę, by spełnić wyrok  
królewski.

Pamiętajcie, rzekł kot do wilka, że Reineke  
podlec

Niegdyś bratu waszemu podstępnie przysłużył  
się stryczkiem;

Trzeba dług mu wypłacić. A was mój mości  
niedźwiedziu,

Dawnoż zdradził nikczemnie, wystawił na razy  
i rany

I w dodatku na wstyd? Doprawdy, słodką  
nam będzie

Zemsta nad niegodziwcem, co wszystkich nas  
ciężko obraził!

Rzućmy próżne gawędy! zawołał Srogosz. Toć  
lepiej

Poszukajmy postronka, by prędko z lotrem  
tym skończyć.

Reineke słuchał w milczeniu, aż wreszcie się  
ozwał z goryczą:

Jeśli tak już zawzięcie żądacie mej śmierci, to  
pocóż

Zwlekać jeszcze? Wszak Miluś powinien się  
znać na postronkach,

Bo je zbadał niedawno, dokładnie w stodole  
u księdza.

Dalej więc! rzućcie się coprędzej na wuja i  
kmotra!

Oto i król już nadciąga, w orszaku panów swej  
radcy,

I królowa z damami, a za nią tłumy ciekawych.  
Srogosz poszeptał na stronie słów kilka z kre-  
wnymi i z żoną,

Zalecając im baczną czuwanie nad lisem zwią-  
zanym,

By nie umknął czasami. Trzymajcie go silnie,  
zakończył,

Kot postronek iczepi, a ja drabinę przystawię.

I powlekli grzesznika na szczeble drabiny, a po-  
tem

Założyli mu stryczek na szyję, czekając rozkazu.

Lis układał tymczasem przeróżne matactwa  
i plany,

Jakby się zręcznie, bez szwanku, z tych ciężkich  
wydobyć opałów.

Trudna będzie to sprawa, pomyślał, wszystko  
złe na mnie

Hurmem się nagle zważyło. I król się zawiązał  
i wrogi

Dybią, aby mnie zgubić, a jest ich mnóstwo  
i silnych.

Wielem w istocie nabroił; lecz gdybym tylko  
raz jeszcze

Mógł do tłumu przemówić, to może uniknąłbym  
śmierci.

Więc ze szczebla drabiny odezwał się tak do  
narodu:

Widzę śmierć przed oczyma i zanim świat ten  
opuszczę,

O to tylko was proszę: dozwólcie mi po raz osta-  
tni

Z żalem wyznać to wszystko, co ciąży na mojem  
sumieniu,

Aby czasem kto inny o grzechy moje w przyszło-  
ści

Obwiniony nie został. Toć może sędzia spraw  
ziemskich

Skruchę tę szczerą uwzględni i wyrok pozyskam  
łaskawszy.

Wielu te słowa wzruszyły. Wszak prośba była  
maluczka,

Zwłoka krótka: więc dalej do króla za biednym  
się wstawiać!

Król zezwolił, a lis nieborak odetchnął swobod-  
niej.

Bracia moi! zawołał, niech wszystko wypowiem  
odrazu!

Kiedym jeszcze był mały, za ledwo od piersi  
odłączon,

Już popchnęła mię żądza pomiędzy jagnięta  
i kózki,

Których głosy beczące przyjemnie lechtaly mi  
ucho.

Wkrótce się z nimi poznałem i na śmierć zdla-  
wiwszy jagniętko,

Krwi cię cieplej napiłem; biesiada była wyborna,  
Więc też dalej broilem, mordując co się nawi-  
nie:

Młode koźlątko i ptaki, kaczęta, gąski i kury.  
Później zimą nad Renem spotkałem się z wil-  
kiem-Srogoszem

I zawarłem z nim sojusz, że razem polować bę-  
dziemy,

On na większe zdobycze, a ja na mniej-  
sze.

Plony miały być wspólne; lecz stało się całkiem  
inaczej.

Gdy cielaka pochwycił, lub kozę, to raczył się  
suto

Świeżem ich mięsem, a mnie zostawiał gnaty  
i skórę.

Nawet choć się zdarzyło, że wspólnie złowiliśmy  
krowę,

Jam odchodził na sucho, bo żona i dzieci Srogosza

Zaraz się na nią rzucały, sprzątając mi zdobycz  
z przed nosa.

Żebra nawet nędznego nie mogłem pozyskać  
w udziale,

Chyba, że z mięsa je wprzód ogryzły żarłoczne  
wilczęta.

Jednak Bóg mię ochronił od głodu. Czerpałem  
tajemnie

Pełną garść z mych skarbów, złożonych w bez-  
piecznej kryjówce,

I żywilem się niemi. A było też czerpać i z cze-  
go,

Boć tam złota jest tyle, że nikt go i w dziesięć  
nawrotów

Furą zabrać nie zdoła. — Tu król na wzmiankę  
o skarbie

Ucha nadstawił i rzekł: A zkadże tak dużo masz  
złota?

Nie zataję ja tego, odpowie liś, boć do grobu

Z sobą zabrać nie mogę tych wszystkich rzeczy  
kosztownych.

Więc jak każesz, o królu, tak wyznam otwarcie  
i szczerze.

Skarb zabrałem przed laty. Sprzysięgli się  
wtedy spiskowi,

By cię życia pozbawić, i gdybym był w porę  
nie zdołał

Skarbów owych usinąć, to zdrajcy dopięliby  
swego.

Lwica wieści straszliwej o spisek na życie mał-  
żonka

Wysłuchała ze drżeniem.—Pamiętaj, rzekła do  
lisa,

Żebyś chwil owych ostatnich nie splamił kłani-  
stwem niegodnem;

Wykryj nam niecny ten zamach i podle morder-  
ców knowania.

Król zaś dodał poważnie: Zamilczcie, wierni  
rycerze!

Reineke niech się przybliży do tronu, boć spra-  
wa to ważna.

Lis, nabrawszy otachy, skwapliwie się zsunął  
z drabiny,

Ku wielkiemu zmartwieniu tych wszystkich,  
co zgubić go chcieli,

Z miną gęstą, buńczucznie do nowych się ma-  
tactw sposobiąc.

Gdyby mi tak się udało, pomyślał, okłamać mo-  
narchę,





Niedźwiedź miał być ich władcą i pojąć koronę wraz z berłem.

A zarazem mych wrogów podstępnie w sidła  
zaplątać,

Byłby to tryumf nielada; lecz trzeba łącać co  
się zmieści.

Niecierpliwie wzywała królowa Reineke-lisa:  
Mów nam wszystko jak było, bo tylko szczerosc  
cię zbawi.

Chętnie, odrzekł jej lis, przed śmiercią ulżę  
sumieniu,

A choć przyjdzie, niestety, oskarżyć przyjaciół  
i krewnych,

Cóż ja na to poradzę, gdy grożą mi męki pie-  
kielne,

Jeśli prawdę zataję? Nie mogę d iszy swej  
zgubić.

Cięzko się jakoś zrobiło królowi na sercu; więc  
pyta:

Czy nie skłamiesz ty tylko?—A lis mu na to  
obludnie:

Grzesznik ze mnie jest wielki, lecz teraz, w śmier-  
ci godzinie,

Z prawdą nie zminę się pewno, bo cóżby mi z  
fałszu przyjść mogło?

Rzekłszy to, minę nastroił żalospną i truchleć  
się zdawał.

Więc wtręcała królowa: Lituję się jego niedoli;  
Zechciej, król i panie, laskawie ucha mu podać  
I im prędezej, tem lepiej dobadać się gruntu  
tych wieści.

Niechaj wszyscy umilkną, a on niech mówi publicznie.

I rozkazał tak król, i tłum się uciszył niebawem,  
Aż odezwie się lis: Dostojny monarcho i panie!  
Wyznam wszystko co wiem najwierniej, jak na  
spowiedzi;  
Szczędzić nie myślę, nikogo, bo tak sumienie  
mi każe.

---

## PIEŚŃ PIĄTA.

---

Chciejcież teraz posłuchać, jak lis się zręcznie  
wywijał,

Aby pokryć swe sprawy, a innym podstępnie  
zaszkodzić.

Kłamstwa wysnuł bezdenne, zbezczescił ojca  
własnego

I spotwarzył borsuka, co wiernym mu zawsze  
był druhem.

Niebo i ziemię poruszył, by dla swych baśni  
zdradzieckich

Wiarę zyskać u króla i pomścić się przez to na  
wrogach.

Rodzic mój, począł swą rzecz, był niegdyś tyle  
szczęśliwym,

Że w kryjówce wśród lasów na skarby natrafił  
ogromne;

Ale nie wyszło mu jakoś na dobre to jego odkry-  
cie,

Bo się począł wynosić nad inne, uboższe zwie-  
rzęta,

Lekceważyć swych równych i szukać możniej-  
szych przyjaciół,

Więc wyprawił z poselstwem Milusia-kota w Ar-  
denny,

By niedźwiedzia tam Mysia odszukał, poprzy-  
siął mu wierność  
I do Rzeszy go naszej zaprosił na króla wszech  
zwierząt.

Myś, gdy pismo ojcowe przeczytał, ucieszył  
się bardzo,  
Bo ambitna to sztuka. Natychmiast więc w  
drogę wyruszył  
A gdy stanął na miejscu, mój rodzic zwołał nie-  
bawem  
I dzielnego Srogosza, i mędrca borsuka-Kosma-  
cza.

Ci, przybrawszy do rady piątego, kota-Milusia,  
Nocną porą, w ukryciu, podstępne swe knuli  
zamiary

I przysięgli się wszyscy na życie monarchy  
naszego:

Niedźwiedź miał być ich władcą i zasiąść na  
stolcu królewskim

W Akwizgranie i posiąść koronę Rzeszy wraz  
z berłem.

Gdy zaś który z przyjaciół lub krewnych lwa  
jegomości

Chciał im stawić się jeżem, to ojciec miał go  
namówić,

Albo przekupić, a w razie oporu, uwięzić lub  
wygnać.

Jam się ot tem dowiedział, bo Kosmacz razu  
jednego,

Pałkę sobie zalawszy, przed żoną się swoją wy-  
gadał,

Pod największym sekretem. Ta znowu, jak  
to kobiety,

Pod zaklęciem na wszystkie świętości, zwierzyła  
się mojej,

I tak doszła rzecz do mnie. Wspomniałem  
przypowieść o żabach.

Co to króla mieć chciały, sprzykrzywszy sobie  
swobodę;

Aż im Jowisz przeznaczył bociana, a ten bez  
pardonu

Zjadać je począł i gnębić straszliwie, bocianim  
zwyczajem.

Poniewczasie spostrzegli biedacy, że głupstwo  
zrobili.

Reineke głośno przemawiał, więc wszyscy ze-  
brani a dworu

Słyszeć go mogli dokładnie, gdy ciągnął dalej  
z zapalem:

Tak, zaprawdę! o los podobny lękałem się dla  
nas.

Znając Mysia, przebiegi i chytre jego podstępny.  
Jam przewidział odrazu, że jeśli on władcą  
zostanie,

To zginiemy z kretesem. Wszak król nasz i pan  
miłościwy

Dobry jest, pomyślałem, wspaniałały, potężny,  
Smutnąby było zamianą osadzić na tronie nie-  
dźwiedzia,

Niedołęgę i łotra. Lecz jak ich knowaniom za-  
pobiedz?

Ojciec mój w ręku ma skarb i licznych stronni-  
ków pieniędzmi

Zdoła pozyskać dla Mysia, więc skarbu pozba-  
wić go trzeba.

Odtąd na każdym już kroku śledziłem rodzica  
mojego,

Ilekróć skrycie wybiegał do lasu, czy we dnie  
czy w nocy.

Raz, gdym leżał ukryty w zaroślach, ujrzałem  
jak stary

Zwinnie się i cichutko z głębokiej wymykał  
szczeliny,

Rozglądając się bacznie, czy niema nikogo  
w pobliżu:

Potem zaczął troskliwie ów otwór gałęźmi przy-  
krywać,

Zasypawszy go piaskiem, a trop nóg swoich  
ogonem

Zręcznie zatarł bez śladu. Zaledwo rodzic mój  
odszedł,

Odkopałem szczelinę łapami i wlaższy do jamy,  
Złota i srebra znalazłem moc wielką. Zaprawdę,  
przenigdy

Nikt ich tyle nie widział na jednym miejscu ze-  
branych.

Więc z kobietą się moją zabraliśmy zaraz do  
dzieła,

Skarby owe przenosząc tajemnie w kryjówkę  
bezpieczną.

Ojciec mój ciągle tymczasem z głowami niecnego  
rokoszu

Knul podstępne zamiary, a co uradzili, opowiem:

Myś i Srogosz pośpiesznie do wszystkich Rzeszy  
powiatów

Rozpisywać zaczęli otwarte listy od siebie,  
By zwerbować zaciężnych do służby króla przy-  
szłego,

Obiecując im zgóry wypłatę żołdu w gotówce.  
Ojciec skwapliwie roznosił po kraju te uniwer-  
sały,

Pewny skarbu swojego. Pomiędzy Elbą i Re-  
nem

Licznych pozyskał stronników, za złoto goto-  
wych do zdrady.

Wreszcie lato nadeszło; mój rodzic powrócił do  
swoich

I przedstawił im wszystko, co zrobił. Długi  
był szereg

Tych, co walczyć przyrzekli za sprawę Mysia-  
niedźwiedzia.

Więc drapieżnych krewniaków Srogosza setek  
dwanaście

Stawić się miało niebawem; a dalej z Turyngii  
całej

Wszystkie koty, borsaki, niedźwiedzi także dwie  
kopy,



Ale Bóg mi dopomógł, żem zdołał zniweczyć  
ich plany.

Gdy skończyli naradę, mój stary pobiegł do lasu,  
By naznosić pieniędzy na pierwsze potrzeby ro-  
kosz.1.

Jamę znalazł w zaroślach, lecz wewnątrz ani  
szeląga.

Próżno kopał i grzebał, aż wreszcie—o straszne  
wspomnienie!

Wstyd i rozpacz go zmogły i biedny sam się  
obwiesił.

Tyle królu potężny, zrobiłem dla dobra twojego,  
Alem źle na tem wyszedł. Wszak Myś i Sro-  
gosz przewrotny

Dziś najbliżej przy tobie zasiedli, a Reineke bie-  
dny,

Za to, że ojca własnego nie szczenił, zginąć ma  
marnie.

Któż z rycerzy w twem państwie do takich po-  
święceń jest zdolny?

Król z królową tymczasem uczuli żądzę nie-  
zmierną

Posiadania tych skarbów, więc wzięwszy na bok  
Rudego,

Badać go jęli cichaczem o miejsce, kędy je ukrył.  
Reineke rzecze im na to: I cóż mi z tego, jeżeli  
Wyznam wszystko królowi, gdy śmierć hańbiąca  
mnie czeka,

Gdy mym wrogom zawierzył, choć wie że lotry  
i zdrajcy?

Nie, odpowie królowa, nie stanie się tobie nic  
złego;

Pan mój życiem cię darzy i puszcza w niepamięć  
twe grzechy;

Badźże tylko na przyszłość oględnym i wiernym  
tronowi.

Miłościwa królowo, odezwie się Reineke skrom-  
nie,

Raczie mi tylko laskawie przywrócić względy  
monarchy,

A zapewnić was mogę, że żaden z władców tej  
ziemi

Nie ma bogactw tak wielkich, jak te co roztrop-  
ność je moja

Złoży w ręce mocarza, którego szanuję i wielbię.

Nie wierz mu, wtrącił lew. To kłamca bezczel-  
ny i chytry.

Prawda, odrzeczcie królowa, że życie jego podotął  
Mało budziło ufności; lecz teraz chciej to rozwa-  
żyć,

Ojca własnego oskarżył o zdradę i druha borsuka.  
Przecie gdyby chciał zmyślać, to mógłby obrzu-  
cać potwarzą

Inne jakie zwierzęta, a bliskich swoich ochra-  
niać.



Zając strwożony przystąpił i rzekł: Monarcho potężny!

Ha, odpowie jej król, jeżeli tak radzisz, niewia-  
sto,

To daruję mu życie i po raz ostatni zaufam;  
Ale klnę się na wszystkie świętości, na moją ko-  
ronę,

Że jeżeli mię zdradzi, wytepię cały ród lisi.

Reineke, widząc jak łatwo i szybko lew zmienia  
swe zdanie,

Nabrał otuchy i rzekł: Czyż byłbym tyle sza-  
lonym,

Najłaskawszy monarcho, by prawić ci baśnie  
wierutne,

Skoro w dni kilka zaledwie musiałoby wydać  
się kłamstwo?

Król uwierzył tym słowom i wszystko lisowi wy-  
baczył,

Naj, rzód zbrodnię ojcową, a potem i sprawy  
późniejsze.

Ale Reineke, rad, że zdołał w szczęśliwej godzinie  
Z matni się zręcznie wywinąć, tak prawić począł  
nanowo:

Miłościwy mój panie i ty władczyni łaskawa!

Niech wam Bóg wynagrodzi to wszystko, co dla  
mnie czynicie!

Wdzięczny wam będę do zgonu i czynem za-  
świadczyć też pragnę,

Że nikomu na świecie tych skarbów chętniej  
nie oddam,

Niż obojgu królestwu. Opiszę wam gdzie je  
znajdziecie.

W stronie wschodniej, za Elbą, jest puszcza  
ustronna i dzika,

A w pośrodku kierz gęsty, przy którym ze skały  
zdrój tryska.

Nigdy stopa jej ludzka nie tknęła, tylko się  
sowy

Gnieźdzą w dziuplach jej drzew. Ta puszcza  
zwie się Kotłuchą.

Ale podążcie tam sami, bo trudno posłańcom za-  
wierzyć.

Ominąwszy ów zdrój, znajdziecie w pobliżu dwie  
brzozy,

Pod któremi ukryłem bogactwa ojca mojego;  
Trzeba je tylko odgrzebać. Pod mchem ujrzycie  
głaz wielki,

Ten odwalcie, a zaraz w podziemnej jaskini was  
ołśni

Mnóstwo złota i srebra, i różnych kosztownych  
klejnotów.

Panie dostojny! gdy zoczysz te skarby ogromne  
i rzadkie,

Pewny jestem, że wdzięcznie o wiernym słudze  
swym wspomnisz.

Reineke, druh mój pocziwy, pomyślisz, on to  
zgromadził

Tyle dla mnie dostatków! Tak mówił królowi  
lis chytry.

Ale lew mu odrzeknie: Potrzeba, byś wybrał się  
ze mną,  
Bo tam nie trafię może. Słyszałem nieraz o Rzy-  
mie,  
O Paryżu, Lubece, Hamburgu, Rostoku i S<sub>z</sub>pi-  
rze,  
Lecz przenigdy o jakiejś Kotlusze; bajeczna  
to nazwa.

Lis nie bardzo był rad tym słowom króla roz-  
ważnym,  
Więc odezwie się znowu: Toć przecie nie gdzieś  
nad Jordanem  
Skarbu szukać wam przyjdzie, lecz tu w pobliżu  
za Elbą.  
Niechże inni poświadczą, że jest tam puszcza  
Kotłucha;  
Ot, Dobrutko, naprzykład, co zna te strony wy-  
bornie.

Zając strwożony przystąpił i szepnął: Monarcho  
potężny!  
Puszcza ta nie jest mi obcą, bo nieraz, czmycha-  
jąc przed psami,  
W niej szukałem schronienia.—Więc dobrze,  
lew powie do lisa,  
Wierzę ci, ale mię wiedz na miejsce, bo tak roz-  
kazuję!  
Szczęśliwy byłbym i dumny, prowadząc króla  
mojego,  
Odparł Reineke-lis, lecz wyrzec się muszę tej  
chluby.

Toż niedawne to czasy, gdym kłątwie uległ za  
grzechy

I nie zdjęto jej ze mnie aż dotąd; chciałbym więc  
jutro

Do dnia, jako pokutnik, w pobożną się puścić  
pielgrzymkę.

Skoro oczyszczon z niej wrócę, to śmiało będę  
mógł stanąć

Obok pana mojego; lecz gdybym dziś to uczynił,  
Ludzieby słusznie mówili: zkąd taka łaska mo-  
narchy

Dla złoczyńcy, którego sam wczoraj skazał na  
gardło

I na którym w dodatku spoczywa kłątwa ko-  
ściola?

Bib. 1--

Prawdę mówisz, rzekł król; ja o tem wiedzieć  
nie mogłem;

Ale jeżeliś pod kłątwą, to ze mną ci iść nie wy-  
pada;

Niech mię raczej prowadzi Dobrutko, albo kto  
inny.

Że oczyścić się pragniesz pokutą, rzecz to chwa-  
lebna,

Więc pozwalam ci jutro wyruszyć w wędrowkę  
daleką.

Obyś wrócił z niej do nas niebawem, pokrzepion  
na duszy!

## PIEŚŃ SZÓSTA.

---

I tak Reineke znów powrócił do łaski królewskiej.

Więc kazawszy dworzanom na trawie zasiąść szeregiem,

Lew ze szczytu pagórka te słowa rzekł do zebranych:

Posłuchajcie mię baczenie, wy ptaki, i wy czworonogi,

Biedni i możni, dostojni i mali wasale korony!

Reineke wielkie usługi wyświadczył domowi mojemu;

I królowa też jejmość prosiła za nim; więc odtąd  
Wszyscy szanować go macie, i żonę jego i dzieci.  
Co uczynił w przeszłości, to puszczam w niepamięć na zawsze,

Bo przyrzeka poprawę i jutro właśnie zamierza  
Chwycić kosztur pątniczy i ruszyć w pielgrzymkę pobożną.

Na to kot się oburknie do Mysia i wilka-Srogosza:

Wszystko teraz stracone! Bodajbym już ztąd był daleko!

Jeśli Reineke-lis odzyskał względy monarchy.  
To potrafi nam trzem gorącą łaźnię zgotować.



Jedno już oko straciłem, a nie chciałbym stracić drugiego.

Trudno, odmruknie mu Myś, przegraliśmy sprawę, mój kumie.

Ale Srogosz poradził, by udać się prosto do króla. Więc stanąwszy przed lwem, niebacznie sarkać poczęli

I oskarżać Rudego. Aż król ofuknie ich z gniewem:

Toć słyszeliście przecie, że mi łaskę mu swoją przywrócił!

I wyrzekłszy te słowa, rozkazał związać opornych,

Pamiętając co lis o zdradzie ich mówił rzekomej.

Zatem od tej się chwili naopak rzeczy zwróciły: Reineke wyszedł z tryumfem, bo wrogów swych w matnię wprowadził,

A, co gorsza, wyjednał u króla dekret sądowy, By potężny szmat skóry Mysiowi zdarto z grzbietu

I tak samo wilkowi, na torbę dla lisa-pielgrzyma. Zaraz tedy nazajutrz od rana żegnać się począł Z królem i jego małżonką, obficie łzy roniąc udane.

Król całemu dworowi rozkazał pątnika ze sumptem

Podprowadzić na drogę; a Myś i Srogosz tymczasem,

Skaleczeni haniebnie, gdzieś w lochu jęczeli  
z bolesti.

Kota tylko nie stało, choć Reineke pragnął go-  
rąco

Zemstę wyrzucić i na nim, zalawszy mu sadła  
za skórę.

Na rozstaniu raz jeszcze odezwał się chytrze  
do króla:

Bacz, monarcho łaskawy, by zdrajcy nie uszli  
z więzienia!

Tu o życie twe idzie, pamiętać nam o tem nale-  
ży.

Więc z koszturą i torbą, uszytą ze skóry swych  
wrogów,

Ruszył w podróż obludnik, postawę przybrawszy  
pobożną,

A lew zasię, wraz z dworem, powrócił do swego  
pałacu.

Dwóch jedynie przedniejszych wasali zostało  
przy lisie:

Zacny zajęc-Dobrutko i baran-Kłęboróg pobo-  
żny,

Bo ich Reineke umiał podstępna usidlać wymo-  
wą.

Przykro mi rozstać się z wami, kuzynie, rzekł  
do zająca,

Z tobą i z zacnym baranem, gdybyście ze  
mną zechcieli



Biedak ucichł niedawem, gdy Reineke gardło mu przegryzł.

Choć maleńki kęs drogi podążyć ku mojej siedzibie,

Wielką miałbym, zaprawdę, przyjemność w wędrówce z mężami,

Których wielbi świat cały. Jesteście takimi zupełnie,

Jakim ja odtąd być pragnę, bo skromni, pobożni i cisi;

Żywność waszą stanowi nie mięso, lecz trawa przydrożna

I umiecie, jak ja, przestawać na małym, gdy trzeba.

Tak pochlebstwem potrafił ich podbić i ująć dotyla,

Że obydwaj z nim zaszli pospołu do jego warowni.

Wtedy lis do barana uprzejmie w te słowa przemówił:

Poczekajcie tu, kumie, i raczcie się zioły smaczniejszymi,

My tymczasem z Dobrutką pójdziemy do mojej kobiety,

By niebogę pocieszyć, bo srodze być musi strapioną,

A gdy dowie się jeszcze, że ruszam w pielgrzymkę daleką,

Biedna zachorzeć gotowa.—Tak lis tumanił swych gości

I wprowadził zająca do zamku. Lisica leżała

Smutno obok swych dzieci, zmożona troską o  
męża;

Ale gdy go ujrzała z koszturym pątnicznym i tor-  
bą,

Jęła pytać ciekawie, o wszystko, co się z nim  
działo.

Wiedz, odpowie jej lis, że byłem już na śmierć  
skazany.

Lecz przywrócił mię król do łaski i skarcił mych  
wrogów,

Mysia i wilka-Srogosza; ta torba z ich skóry  
uszyta.

Dalej oddał mi król na pomstę zająca-Dobrutkę,

Który zdradził mię pierwszy i przez to na karę  
zasłużył.

Zając z trwogą niemałą usłyszał te groźne wyrazy

I drapaka chciał dać, lękając się słusznie o życie;

Lecz morderca go dognał przy wrotach i za  
kark pochwycił.

Biedak wrzasnął raz jeszcze: Ratujcie baranie!  
na pomoc!

Ale ucichł niebawem, gdy Reineke gardło mu  
przegryzł.

Pójdźże, lis rzeknie do żony, spożyjmy tłustego  
szaraka;

Po raz pierwszy on może choć na coś się przydał  
na świecie.

I poczęli się raczyć oboje ze swemi lisiętą,

Sławiąc łaskę królewską przy sutej i smacznej  
biesiadzie.

Jedźmy, odczwie się lis, tą razą nie zbraknie  
nam strawy.

Tak niech zginą ci wszyscy, co targać się na mnie  
pokuszą!

Radabym teraz zapytać, po uczcie napomknie  
lisica,

Jakim cudem od śmierci wykręcić się tobie uda-  
ło?

Długo o tem powiadać, odrzeczcie lis, jakem zrę-  
cznie

Króla omotać potrafił i łaskę pozyskać królo-  
wej.

Zresztą trudno zaprzeczyć, że przyjaźń ta wisi  
na włosku,

Bo gdy prawdy się dowie, zapłonie gniewem stra-  
szliwym

I już na nic się wtedy nie zdadzą najmędrsze  
wybiegi,

Wisieć mi przyjdzie niebawem. Więc, słuchaj:  
ratować się trzeba,

Uciekajmy coprędzej do Szwabów żyznej krainy.  
Tam dostatek jest wielki i wbród pokarmu  
wszelkiego:

Kaczek, gęsi i kur, zajęcy, królików i ptactwa,  
A dla dzieci rodzynek i fig, daktyłów i cukru;

Ludzie pieką tam chleb wyborny, na jajach i ma-  
śle;

Woda czysta jak lza, powietrze łagodne i mile;

Ryb nie zbraknie w jeziorach, gdy pościć nam  
przyjdzie ochota;

Słowem ziemski to raj. A wyznać też muszę  
otwarcie,

Żem mocarza naszego obelgał haniebnie, jak  
żaka:

Pod przysięgą przyrzekłem, że ruszę w piel-  
grzymkę za morze;

Nagadałem mu cuda o skarbie ukrytym w Ko-  
tłusze;

Niechże głupiec tam kopie, nie znajdzie szeląga  
marnego.

Ale gdy się przekona o kłamstwach moich, ha,  
wtedy

Biada mi, jeśli mię schwyci. Oj nie chciałbym  
znaleźć się znowu

W tak straszliwych opałach: najlepiej nogi  
wziąć za pas.

Rozważ, mężu i panie, ze smutkiem odpowie  
mu liszka,

Że najlepiej każdemu u siebie; poco więc szukać  
Guza gdzieś na obczyźnie? Niemądrze za-  
prawdę ten czyni,

Kto porzuca rzecz pewną, by gonić za marną ułu-  
dą.

Wszak żyjemy tu wszyscy bezpiecznie; twierdza  
jest silna

I nie łatwoby przyszło królowi zdobyć jej wały.  
Zresztą mamy tu przecie chodników podziem-  
nych bez liku,

Więc i uciec możemy, gdy innej nie będzie już  
rady.

Ale to mnie najwięcej zasnuca, żeś przysiągł  
niebacznie

Odbyć pielgrzymkę za morze. Cóż wtedy z na-  
mi się stanie?

Ha, odrzeknie jej lis, jeżeli tak bardzo się  
trwożysz,

Miła ty moja niewiasto, to wolę już zostać tu  
przy was.

Wymuszona przysięga nikogo-bo przecie nie  
wiąże.

Zbyt potężny jest król, bym się odeprzeć mógł  
siłą;

Lecz jeżeli mnie zechce zaczepić, to rychło na  
uszy

Czapkę z dzwonekami mu wsunę i kurtę blazeń-  
ską mu skroję.

Niecierpliwie tymczasem Kłęchoróg wołał przed  
bramą:

Hejże, kumie-zajęcie! wychodźcie! wracać nam  
pora!

Reineke, słysząc te słowa, odpowie mu chytrze:  
Łaskawco,

Chciejcie wybaczyć Dobrutce. On z ciotką  
tam się zabawia,

Miłą prowadząc rozmowę. Podejdźcie naprzód  
powoli,

A dopędzi was wkrótce, gdy puści go moja ko-  
bieta.

Jednak słyszałem niedawno jak krzyczał: ra-  
tunku! na pomoc?



Pyta baran; czy czasem biednemu się krzywda  
nie stała?

Gdzie tam, rzeczę lis na to. Gdym wspomniał  
o swojej pielgrzymce,

Tkliwa moja niewiasta dostała s<sub>p</sub>azmów ze  
strachu.

Widząc to, zacny Dobrutko o pomoc głośno jął  
wołać.

Lecz zapewnić was mogę, że jemu i włos nie  
spadł z głowy.

Oto lepiej słuchajcie: polecił mi król na wycho-  
dnem,

Abym w kilku mu pismach o ważnych sprawach  
korony

Myśli swoje objawił. Te pisma mam już goto-  
we;

Chciejcie zabrać je z sobą i wręczyć monarsze  
samemu.

Owszem, odpowie mu baran, lecz nie mam kie-  
szonki podróżnej,

Więc niechącybym mógł pokruszyć pieczęcie  
na listach.

Łatwo temu zaradzić, podchwyci Reineke zdra-  
dnie,

Toć ja pyszną mam torbę ze skóry niedźwiedzia  
i wilka;

Niechże służy waszmości, a król was osobno  
nagrodzi.

I pośpieszył do zamku i włożył cichaczem do torby

Łeb biednego Dobrutki, i wyniósł ją, szczelnie zamkniętą.

Oto moje papiery, zawołał, radzę wam tylko  
Nie zaglądać do środka, bom węzły misternie  
zadzierzgnął

I ucieszy się król, gdy torbę nietkniętą odbierze.

Nawet więcej wam powiem: by zyskać u dworu  
znaczenie,

Napomknijcie, że sami w tych pismach byliście  
mi radą,

Żeście w nich pomagali, to zjedna wam względy  
u króla.

Więc ucieszył się baran i skakać aż począł z radości.

Drogi kumie mój, prawi, niech Bóg wam tę łaskę nagrodzi!

Wobec dworu i wszystkich wasali urośnie ma chluba

Z pism tak mądrze skreślonych, a wam zawdzięczać to będą.

I pożegnał się z lisem i śpiesznie z powrotem podążył.

Gdy już stanął u dworu, ciekawie król go zapyta:

Cdzież jest Reineke-lis? bo widzę że masz jego torbę.

Najlaskawszy monarcho, Klęboróg mu na to  
odpowie,

Lis mię prosił, bym zabrał papiery w tej torbie  
schowane.

To co w niej się zawiera, jest dziełem wspólnem  
nas obu;

Jam to jemu doradził, jak słusznie pochwalić  
się mogą.

Więc król bobra zawezwał i listy odczytać mu  
kazał,

(Był to pisarz nadworny, co wiele posiadał ję-  
zyków);

Ten, gdy z kota pomocą rozplątał węzły mister-  
ne

I wydobył ów łeb zajęczy, zawołał zdumiony:  
Dziwne listy, doprawdy! lecz kto je napisał  
i poci?

Wszak to głowa Dobrutki, niestety! wszystkim  
nam znana.

Król się mocno przeraził i rzekł z westchnieniem  
tłumionem:

Reinke, niecny zbrodniarzu! o czemuż twym  
kłamstwom wierzyłem?

Ale lampart się na to odezwie, krewniak kró-  
lewski:

Pociż, władco potężny, napróżno się żalić  
i smucić?

Wszakżeś panem nas wszystkich; rozkazuj,  
a będziem posłuszni.

Właśnie to, odparł mu lew, mnie dręczy, że  
będąc wam panem,

Tak straszliwie zbłądziłem. Toż wilk i niedź-  
wiedź skarceni

Najniewinniej zapewne. Nie czyni to wcale  
zaszczytu

Mnie i mojej koronie, żem skrzywdził tak dziel-  
nych rycerzy.

Zbyt skwapliwiem usłuchał tą razą podszeptu  
królowej.

Bo niewiasty się zawsze wrażeniem rządzą,  
a przytem

Łatwo przystępne pochlebstwu. Ha, stało  
się! trudna już rada!

I znów lampart tak pocznie: Dostojny wszech-  
zwierząt monarcho!

Nie chciej trapić się dłużej! Toż złe naprawić  
nie trudno.

Oddaj niesłusznie skrzywdzonym na pastwę  
barana niecnotę,

Który morderstwo Dobrutki doradził i sam to  
przyznaje.

Potem wszyscy pospołu ruszymy na lisa sie-  
dzibę

I pojmawszy złoczyńcę, doraźnym go sądem  
skarcimy.



I tak sojusz wznowiony Kłęberóg głową przypłacił.

Lwu te słowa przypadły do myśli i odrzekł łaskawie:

Rada twoja jest dobra, więc obu przyprowadź tu zaraz;

Wilk i niedźwiedź niech znów zasiądą w mej radzie na czele,

Niech ich moi dworzanie ze czcią i szacunkiem witają,

A na pastwę im oddać barana i jego pokrewnych. Lampart więc zaraz pośpieszył do Mysia i wilka-Srogosza.

Dobłą wieść wam przynoszę, zawołał, bo łaskę królewską.

Pan nasz, jeśli was skrzywdził, to sam żałuje dziś tego

I oddaje wam w moc barana, niecnego przechebę,

Z całym jego plemieniem. Gdziekolwiek ród ten spotkacie.

Czy to w polu, czy w lesie, niech pastwą waszą się stanie.

Oto co wam ogłaszam, w imieniu monarchy naszego;

On i jego następcy na wieki ten wyrok stwierdzają.

Więc niech zgoda nastąpi i bądźcie królowi wiernymi.

I tak sojusz wznowiony Kłębóróg głową przypłacił

I nieprzyjaźń plemienna w wieczysty się płomień rozżęła.

Dotąd jeszcze, gdziekolwiek potężni krewniacy  
Srogosza

Na swej drodze przydybią barana, owcę lub  
jagnię,

Wnet rozszarpią je w sztuki, na mocy owego dekretu.

---

## PIEŚŃ SIÓDMA.

---

Ale by uczyć niedźwiedzia i wilka, do łaski  
wróconych,

Król zjazd dworski rozkazał przedłużyć do kilku  
tygodni.

I zebrali się licznie szlachetni rycerze wszech-  
rodów;

Codzień odgłos się trąb i kotłów rozlegał dokoła  
I korowód taneczny sam król prowadził z po-  
wagą.

Wśród tam było wszystkiego, co tylko zamarzyć  
się może;

Posły szły za posłami, spraszając gości do dwo-  
ru;

Czworonogi i ptaki ruszały w drogę parami,  
Śpiesząc buńczucznie i strojnie, na króla swoje-  
go wezwanie.

Reineke tylko, samotnie przyczajon, w domu po-  
został,

Bo nastawić już lba nie kwapił się wcale tą razą;  
Wolał, dawnym zwyczajem, u siebie broić po-  
cichu.

A u dworu tymczasem wesoło muzyka grzmiała;



Hojnie jadłem i trunkiem rycerzy zebranych  
raczono,

Codzień bywały turnieje, gonitwy, tańce i śpie-  
wy,

Także wiejskie zabawy, przy których ligawki  
i kobzy

Tęskną nutą dźwięczały. Oj, byłoż przysłu-  
chać się czemu!

Tydzień minął tym trybem. Król siedział przy  
stole z królową,

W gronie dworzan przedniejszych i gości zda-  
leka przybyłych.

Wtem, ociekła krwią świeżą, pojawia się przed  
nim wiewiórka.

Wielki królu! zawoła, i wy, panowie korony!

Raczcie ująć się za mną, bo Reineke ciężko mnie  
skrzywdził.

Wczoraj rano, gdym szła gościńcem wiodącym  
do zamku

Maleparta, sam lis przed furtą siedział skulony,  
Odzian w szaty jątnicze, jak gdyby odmawiał  
pacierze.

Chciałam się przemknąć nieznacznie, lecz on  
mnie spostrzegł i szybko

Wstał, zbliżając się ku mnie. Myślałam, że  
chce mnie przywitać;

Ale zbójca odrazu w pazury mię ostre pochwycił.  
Szczęściem, żem lekka i zwinna, więc z łap mu  
się zręcznie wymknęłam,

Lecz straszliwie zraniona, bez wąsów i ucha  
jednego.

Więc potężny monarcho, chciej zważyć, że nikt  
dziś w tym kraju

Podróżować nie może bezpiecznie, bo zbójca  
okrutny

Po gościńcach czatuje i staje przechodniom na  
zdradzie.

A zaledwo skończyła swe żale, gdy z krzykiem  
wrzaskliwym

Kruk nadskoczył zdyszany i zaraz stanął przed  
królem.

Przepotężny monarcho! zakrakał, ledwo potra-  
fię

Głosu dobyć, nieszczęsny, z boleści straszliwej  
i smutku.

Dziś, gdym w pole wyruszył z niewiastą moją,  
Dzióbajką,

Ujrzeliśmy, że lis jak martwy leży przy dro-  
dze:

Ślepie we łbie przekręcił i kitę szeroką stuli-  
wszy,

Ozór z pyska wywalił. Krzyknąłem głośno ze  
strachu:

On nie ruszał się wcale. Poczęliśmy tedy oboje  
Koło zmarłego się krzątać, serdecznie żałując  
go w duszy.

Aż gdy moja Dzióbajka przytknęła mu ucho do  
nosa,

By posłuchać czy czasem się oddech w nim  
zataił,

Zdrajca schwycił ją nagle i ugryzł głowę niebo-  
dze.

Jak mnie ten widok przeraził, czyż słowa okre-  
ślić potrafią?

Biada mi! biada! wrzasnąłem. A wtem zło-  
czyńca i na mnie

Jednym susem się rzucił; zaledwo żem uniknął  
na drzewo.

Tam, o królu, widziałem jak zbój rozszarpał  
mi żonę

I jak schrupał ją chciwie. Gdy odszedł, fru-  
nąłem na ziemię;

Ale lotr nie zostawił ni jednej kosteczki nie-  
tkniętej,

Tylko pierze i dziób znalazłem, i te też przyno-  
szę,

Jako zbrodni dowody. Monarcho łaskawy i  
wielki!

Gdybyś tą razą na zdrajcy nikczemnym pom-  
sty nie wywarł,

Dużoby o tem gadano; bo mądrze mówi przy-  
słowie,

Że współnikiem jest zbrodni, kto mogąc uka-  
rać, nie karze.

Tak wysłuchał dwór cały biadania wiewiórki  
i kruka.

Więc się Nobilis-lew odezwał z gniewem w te  
słowa:

Na mą wierność małżeńską, na wszystkie świę-  
tości przysięgam,

Że łotrowi te sprawy zdradzieckie nie ujdą  
na sucho.

Toż się zaklął obłudnik, że ruszy w pielgrzymkę  
pobożną;

Jakieś spiski wymyślił i skarby, o których nikt  
nie wie;

Słowem okłamał mię czelnie. Nie było mi  
słuchać królowej!

Ale nie będę podobno ostatnim, co gorzko ża-  
łuje,

Że niebacznie w swych sądach za radą poszedł  
niewieścią.

Hańbąby było, doprawdy, folgować złoczyńcy  
takiemu.

Więc, szlachetni rycerze, poradźcie co czynić  
należy,

By go schwycić coprędzej i skarać, jak prawo  
wymaga.

Myś i Srogosz z radością tej mowy królewskiej  
słuchali,

Lecz nie śmieli nastawać, bo lew był nad mia-  
rę wzburzony.

Aż podchwyci królowa: Łaskawy mój mężu  
i panie!

Nazbyt się gniewem unosisz. Potrzeba doba-  
dać się prawdy

I winnego wysłuchać, bo gdyby był tutaj obe-  
cny,

Może niejedenby zamilkł, co teraz zuchwale  
gardłuje.

Reineke zawsze i wszędzie roztropnym był w  
czynie i radzie,

Więc w najlepszej go myśli dla tronu zjednać  
pragnęłam.

To co mówi jest mądre, choć życie prowadzi  
naganne.

Zresztą baczyć i na to winniśmy, że ród jego  
możny,

Liczne ma w kraju stosunki; nie trzeba się śpie-  
szyć z wyrokiem.

I znów lampart się ozwie. Wysłuchać stron  
obu nie wadzi.

Niech się Reineke stawi, a skoro śledztwo sądo-  
we

Winę nam jego potwierdzi, to stanie się według  
twojej woli.

Takie jest zdanie królowej i wielu obecnych  
w tem kole.

Lecz wilk-Srogosz mu na to: Słuchajcie, kolego  
lamparcie;

Choćby się lis i wykręcił od skargi wiewiórki  
i kruka,

Łatwobym dowieść potrafił, że śmiercią go ska-  
rać należy.

Wszak bezczelnie okłamał niedawno monar-  
chę samego;

Wielu z nas nędznik pokrzywdził, a mnie i Mysia znieważył.

Ale o tem zamilczeć już wolę, aż łotra schwycimy.

Teraz nanowo rozbija swobodnie po drogach publicznych,

Więc nie stanie przed sądem, jeżeli nie zmusim go siłą.

Ha, przemówi znów król, więc poco czekać nam dłużej?

Niech waleczni wasale do walki się zaraz gotują;

Za dni kilka ruszymy, by zdobyć złoczyńcy siedzibę.

Każdy niech w dzidę, i łuk, i oręż się wszelki opatrzy,

A popiszcie się dzielnie, bo w miarę zasługi zamierzam

Nowych pasować rycerzy.—I wszyscy się kornie skłonili.

Zatem Nobilis-lew i jego lennicy pragnęli Malepartę szturmować i lisa ukarać. Lecz borsuk,

Wysłuchawszy wszystkiego, cichaczem wysunął się z koła

I pospieszył co tchu do wuja, by ostrzedz go w porę.

Biedny Reineke-lis, pomyślał, krucho z nim będzie!

Strata ztąd wielka dla rodu; boć on-to naszą był  
głową,

On przed sądem nas bronił i przy nim byliśmy  
bezpieczni.

Więc doszedłszy do zamku, przed bramą zastał  
Rudego,

Który przed chwilą dwa młode gołąbki pochwy-  
cił i zdusił.

Ten, gdy ujrział Kosmacza, powitał go grzecznie,  
powstawszy.

Bądź pozdrowion w mych progach, zawołał,  
siostrzanie mój miły!

Aleś jakoś zdyszany; czy złe mi zwiastujesz no-  
winy?

Na to borsuk odpowie: Niedobre przynoszę  
wam wieści.

Król się zawiązał, by was pozbawić i mienia i ży-  
cia;

Pospolite ruszenie powołał; przedniejsi rycerze,  
Zbrojni w dzidy, rusznice i łuki, z taborem wo-  
jennym,

Wkrótce zebrać się mają i obiedz wasz zamek  
warowny.

Myś i Srogosz nanowo są w łaskach u króla,  
jak nigdy;

Tylko patrz yć, jak wilk hetmańską otrzyma bu-  
łą wę.

Kruk z wiewiórką przed tron na waści skargę  
zanieśli.

W wielkiej jestem obawie, wujaszku, o koniec tej sprawy.

Tylko tyle? rzekł lis. To furda, wierzaj mi bracie.

Choćby się nawet i król i rada na jedno spiknęli, Skoro tam tylko zawitam, przez nogę ich wszystkich przesadzę.

Oto zabierzmy się lepiej do smacznej, choć skromnej przekąski.

Właśnie złowiłem tu parę gołąbków młodych a tłustych;

Lubię bardzo te ptaszki, to strawa i lekka i miła. Pójdźmy zatem do mojej niewiasty; lecz nie mów jej proszę

Z czem przybyłeś, bo ona do sercaby zaraz to wzięła,

Jutro społem ruszymy do dworu; tuszę zaś sobie,

Że mi pomódz tam zechcesz, jak godzi się między krewnymi.

Chętnie oddam majątek i życie na wasze usługi,

Rzeczę borsuk; a lis mu na to: Wdzięcznym ci będę

Póki życia, siostrzanie. — Aż tamten znów się odezwie:

Mówcie śmiało do króla; wysłucha was, ręczę wam za to,





On nie ruszał się wcale... Lecz nagle ją zlatając pochwytał

Bo królowa z lampartem po waszej, wujaszku,  
są stronie.

Tak gawędząc ze sobą, do hożej poszli gosposi;  
Podzielono gołąbki i każde swą częśćkę spożyło.  
Smaczne były, bo smaczne, lecz skąpo przypa-  
dło na głowę:

Byliby chętnie schrupali i tuzin, gdyby go  
mieli.

Po wieczerzy rzekł lis: A muszę też teraz waszeci  
Synków swoich przedstawić, boć przecie jest  
z czem się pochwalić,

Oto starszy Capikur, a owo pieszczoszek nasz  
Lubuś.

Wielką mam z nich pociechę: roztropne to,  
zręczne, pojętne

I zabiera się sprytnie do łowów wszelkiego ro-  
dzaju.

Przytem ja ich przyuczam, jak psów się ustrzedz  
i strzelców;

Gdy dorosną, to nigdy nie zbraknie już u nas  
zwierzyny,

Bo wrodzili się w ojca: chwytają szybko i skła-  
dnie,

A i w skoku są silni i pewni, co rzeczą jest wa-  
żną.

Wielka łaska to nieba, odeprze borsuk, gdy dzieci

Dobrze się komu udają: albowiem przyszłość  
i rodzin

I narodów zależy od cnót i przymiotów młodzieży.

Dumny jestem, że mam tak dzielnych wojaków w swym rodzie.

Wtem mu przerwie gospodarz, rzucając lisicy te słowa:

Pora nam spocząć, niewiasto, bo siostrzan nasz srodze zmęczony.

Więc posłanie wygodne, na słomie i liściach suszonych,

Sporządzono w sypialni i wszyscy tam spodem chrapnęli;

Tylko Reineke-lis, choć miną junacką nadrabiał,

Zasnąć nie mógł stroskany i ranek w dumaniu go zastał.

Ledwo też ślepie rozwarła lisica, już ozwał się do niej:

Wyznać duszko ci muszę, że idę z Kosmaczem do dworu.

Ale nie frasuj się o mnie, a pilnuj dzieciaków i domu.

Na to liszka mu rzecze: Doprawdy, dziwię się bardzo,

Że bez ważnej przyczyny nanowo chcesz głowy nadstawiać;

Czyż nie pomnisz przeszłości? — Zaiste, lis jej odpowie,

Ciepło było mi wtedy; lecz różnie się dzieje na świecie:

Człek raz bywa na wozie, to znowu legnie pod wozem.

Jednak się nie troszcz, kochanko, za dni niewiele powrócę.

Rzekłszy to chwycił za kij i odszedł z borsukiem-Kosmaczem.

---

## PIEŚŃ ÓSMA.

---

Szli więc razem krewniacy przez pola, i łąki,  
i bory,

Wprost do zamku, gdzie król zasiadł z wasali  
swych gronem.

W drodze Reineke rzekł: Na dwoje babka wró-  
żyła;

Jednak szepce mi coś, że wszystko się dobrze  
zakończy.

Lecz wysłuchaj tymczasem powtórnej mych  
grzechów spowiedzi,

Bom o dawnych przepomniał i nowych napłatał  
niemalo.

Więc po pierwsze, jak wiesz, i Myś i Srogosz prze-  
ze mnie

Postradali niesłusznie po sporym szmacie  
swej skóry.

Sam królowi naplotłem wierutnych baśni o skar-  
bach.

Dalej Dobrutkę zagryzłem, a głowę jego, miast  
listów,

Przez barana posłałem do dworu. Nieborak  
Kłęboróg

Życiem mą zdradę przypłacił. Wiewiórkę tak-  
że skrzywdziłem.

Wreszcie ze wstydem wyznaję, że w oczach  
kruka niedawno

Żonę Dzióbajkę mu zjadłem, obżarstwem gwoli  
wstrętnemu.

Oto są grzechy spełnione po pierwszej już owej  
spowiedzi.

Alem jeszcze zapomniał o jednej sprawce z  
przeszłości.

Idąc z wilkiem na żer, spostrzegliśmy klacz i źre-  
biątko.

Srogosz strasznie był głodny; więc rzecze do  
mnie: Kolego,

Racz się klaczy zapytać, czy czasem nam źreb-  
ca nie sprzeda.

Jam też podszedł i prawię: Przechacna niewiasto,  
powiedzcie.

Czy to źrebię jest wasze i czybyście zbyć go  
nie chcieli?

Owszem, odrzecz mi klacz, za dobre pieniądze  
je oddam;

Cenę znajdziecie spisana na spodzie kopyt  
mych tylnych.

Zmiarkowałem jej podstęp. Więc mowię: Wy-  
znać wam muszę,

Żem niebiegły w czytaniu; a zresztą nie o mnie  
tu idzie,

Lecz o wilka-Srogosza, on źrebca kupić zamie-  
rza.

Niechże przyjdzie, odparła, objaśnię go krótko  
a jędrnie.

Zatem rzekłem wilkowi: Jeżeli towar mieć chce-  
cie,  
To targujcie go sami. Kobyła ma cenę spisa-  
ną  
Na swych tylnych kopytach. Zobaczcie tyl-  
ko, mój kumie,  
Owo pismo, to może i jego znaczenia dojdzie-  
cie.

Jażbym nie miał zrozumieć osnowy pisma? wilk  
krzyknie.  
A to rzeczy zabawne! Toż wiecie, że władam  
wybornie

Z dawnych języków łacińskim, a z nowszych  
włoskim, francuskim  
I angielskim potroszę. Jam przecie getyng-  
skiej wszechnicy.  
In absoluti doktor. Wyczytaćbym nawet po-  
trafił  
Starodawne skrypty, tak biegle jak własny  
swój podpis.

Podszedł tedy i spytał kobyły: Co chcecie za  
żrebca?  
Tylko się proszę nie drożyć.—Tu cenę znajdzie-  
cie na spodzie,  
Klacz mu rzecze, i zaraz z murawy nogę pod-  
niosła,  
Sześcią gwoźdźmi podkuta. Aż gdy się doktor  
nachyli,

By zobaczyć pisanie, jak wierzgnie, mierząc  
mu w czoło,

Tak się biedak przewrócił, a klacz ze źrebce  
uciekła.

Długo leżał bez duszy i ledwo w godzinę do-  
piero

Oprzytomniał potrosze. Jam wtedy przystąpił  
do niego:

Jakże kupno? pytałem; czy drogo zapłacić wam  
przyszło?

Co tam było u klaczy na tylnem kopycie, do-  
ktorze?

Jeszcze ze mnie szydzicie? żałośnie jęknął ra-  
niony.

Bodaj kaci porwali tę klacz z długimi noga-  
mi!

Gwoździe miała w kopytach, prawdziwe pismo  
ćwickowe,

Z przeczytania onego sześć dziur mi w głowie  
zostało.

Ledwo z ran się wylizał.—I tak wyznałem ci  
wszystko,

Co mi na sercu ciążyło.—Jakkolwiek się los  
mój obróci,

Zawszem ulżył sumieniu i śmielej już w przy-  
szłość spoglądam.

Borsuk na to: Zaprawdę, zgrzeszyliście ciężko,  
mój wuju;

Ha, cóż robić? umarli nie wskrzesną, choć byłoby  
lepiej,



Gdyby odżyć zdolali. Jednakże wybacza się  
wiele

Temu, co śmierć mu zagraża. Najgorsza, po-  
wiem wam, sprawa

Z tem morderstwem Dobrutki; bo sami też  
przyznać musicie,

Że zuchwalstwem to było posyłać łeb królowi.  
Stało się, przerwie mu lis; co będzie ze mną, to  
będzie.

Widzisz-bo, bratku, że radzić rozumnie i innym  
i sobie

Nie jest rzeczą tak łatwą. Toć świętym być  
trudno na świecie.

Każdy swoje ma wady, i jeśli przez krewkość  
zawinił,

To i oni mi także niemało dopiekli, zaprawdę.

Zając drażnił mnie wielce ciągłymi skokami swo-  
jemi.

Pulchność mię jego nęciła, więc afekt na bok iść  
musiał.

Zresztą tępe to było, niezdarne i głupie okrutnie.

Wprawdzie miłować należy bliźniego jak siebie  
samego,

Ale spójrzmy dokoła, czy przykład przyświeca  
nam z góry?

Lew rozbija niegorzej, jak każdy z jego wasali,

A gdy sam nie zagrabia, to każe niedźwiedzom  
lub wilkom.

Jednak niema nikogo, co śmiałby mu prawdę  
powiedzieć;

Wszyscy milczą, bo wszystkim z milczeniem jest  
arcy-wygodnie.

Co ci starszy zabierze, przepadło, rozstąpi się zie-  
mio.

To też król nasz i pan nazywa nas dziećmi swo-  
jenii,

Aby wszystko co nasze, za swoje uważać był  
w prawie;

Lubi przytem, gdy dwór tańcuje jak zagrać mu  
każe;

A że niedźwiedź i wilk do laski królewskiej wró-  
cili,

Gawiedź bije im czołem i korzy się przed ich  
potęgą.

Jeśli biedny się lis poważy kuraka zadusić,

Wszyscy hurmem na niego! nuż tropić go, chwy-  
tać i sądzić!

Małych złodziejów się wieszka, a wielcy bezkar-  
nie rabują,

Gdy to wszystko rozważę, doprawdy, nabieram  
otuchy,

Że nie jestem tak zły, jak może się ludziom wyda-  
je.

Wprawdzie i we mnie czasami odezwie się wy-  
rzut sumienia,

Ale nie trwa to długo. Bo cóż pomoże być za-  
cny,

Kiedy tłuszcza bezmyślna i zacnych nawet spo-  
twarza.



Długo leżał bez duszy i ledwo się ocknął w godzinę.

Nie przepuszczą nikomu języki gminu złośliwe;

Zawsze złe upatrują w swych panach, choć znają i dobre.

Lecz co gorsza, każdemu się zdaje że, on bez pochyby

Światemby rządził najlepiej. Oj, gdybyć to każdy przynajmniej

Własną żonę i dzieci w karności utrzymać potrafił,

Gdyby z krnąbrną czeladką skutecznie uporać się zdołał,

Gdyby umiał żyć sam rozumnie wśród głupich i próżnych!

My tymczasem lubimy od innych wymagać wszystkiego,

A od siebie nic nie dać. Dlatego w zepsuciu grzęźniemy.

Potwarz, kłamstwo, obłuda, zabójstwo i krzywoprzysięstwo,

Grabież cudzej własności, to rzecz zwyczajna dziś wszędzie.

Żyje się tylko z dnia na dzień i każdy małpuje bliźniego,

Tem się przed sobą tłumacząc, że inni nie lepiej też czynią.

Wuju, borsuk mu rzecze, zaprawdę dziwna to spowiedź:

Zamiast o własnych swych grzechach, prawie mi ciągle o cudzych,

Niechaj każdy w swem kółku to spełnia, co peł-  
nić mu każą

Honor i prosta powinność, we wszystkim nam  
będzie z tem dobrze.

Tak gawędząc, niebawem do lwiej się zbliżyli  
siedziby

I spotkali na drodze pawiana w podróżnym ubio-  
rze.

Powitano się grzecznie i Reineke z biedą się swo-  
ją

Przed krewniakiem uzalił: jak świeżo kruk  
i wiewiórka

Oczerniły go srodze w obliczu monarchy i rady.

Kumie, pawian odpowie, ruszajcie śmiało do  
dworu;

Tam, przy boku królowej, żoneczka moja, jak  
wiecie,

Honorową jest damą i wielkim zaszczyca się  
wplywem.

Ona wam chętnie pomoże, bo mądra to bardzo  
niewiasta.

Zresztą wracam dziś jeszcze, a król oddawna  
wie o tem,

Żem życzliwy jest dla was i marnie zginąć wam  
nie dam.

Więc pokrzepion na duchu, już raźniej Reineke  
ruszył

Prosto na sądy królewskie, gdzie liczne czyhały  
nań wrogie.

## PIEŚŃ DZIEWIĄTA.

---

Ale gdy przybył do dworu i ujrzał tam tłumy  
niechętnych,

Którzy zemstą ku niemu palali i zgubić go chcieli,  
Uczuł trwogę nieborak; lecz miną nadrobił  
i gestem,

Przeciskając się butnie z borsukiem do tronu  
monarchy.

Więc towarzysz mu szepnie: Wujaszku, nie  
traćcie odwagi!

Cało z tej sprawy wyjdziecie, bo śmiałym zwy-  
kle los sprzyja.

Prawdę mówisz, rzekł lis, i jeśli przy życiu zo-  
stanę,

Dobre ci dobrem odplacę.—Raz jeszcze obej-  
rzał się wkoło

I zobaczył tam wielu krewniaków, lecz mało  
przyjaciół.

Bóg najwyższy, zawołał, niech raczy zachować  
cię, panie,

Wraz z królową jejmością, i łaską natchnąć  
was swoją,

Byście prawdę od fałszu we wszystkim odró-  
żniać zdołali,

Bo zbyt wiele jest teraz matactwa i zdrady na  
świecie.

Gdyby tak każdy na czole miał napis co zacz  
i co myśli,

Miłościwy nasz król oceniłby szczerść słów  
moich.

Wiem, że licznych mam wrogów, co pragną mię  
wyzuć z twych względów

Władco zwierząt potężny! Lecz ufny w twą  
mądrość i stałość,

Wierzę, że z drogi słuszności sprowadzić cię  
nikt nie potrafi.

Łotrze, odpowie mu król, na ten raz przebiegle  
twe słowa

Nie przydały się na nic. Rabujesz, cyganisz  
i zdradzasz,

Jak widzieliśmy świeżo na biednej wiewiórcie  
i kruk;

Ale dosyć już tego: przebrała się miara twych  
zbrodni.

Lis pomyślał strapiony: Ha, kuso coś zemną  
naprawdę;

Ale kto zabrnął, ten musi i przebrnąć. Spróbuję  
raz jeszcze....

Wielki królu, przemówił, jeżeliś na śmierć mnie  
osądził,

To z mylnego jedynie na całą tę sprawę poglądu.

Racz mię zatem wysłuchać. Wszak zawsze ra-  
dziłem ci dobrze,

Wiernie przy boku twym stając, gdy inni od  
ciebie stronili.

Czyliż sądzisz, że byłbym tak śmiało się stawił  
u dworu,

Gdybym winnym się czuł tych przestępstw  
i wielkich i drobnych?

Nie, pozostałbym raczej u siebie, w swej twier-  
dzy warownej,

Zamiast skwapliwie, bez zwłoki, posłusznym być  
twemu wezwaniu.

Alem przybył i żądam, by wszelkie pokątne  
obmowy.

Powtórzono mi w oczy, otwarcie, jak czynić się  
godzi.

Najprzód więc co do wiewiórki opowiem w krót-  
kości rzecz całą.

Wczoraj rano, o świcie, siedziałem przed swoim  
zameczkiem,

W zwykłym ducha skupieniu pacierze zmawiając  
poranne.

Wtem wiewiórka przechodzi i wita się ze mną  
uprzejmie,

Mówiąc, że idzie do dworu.—Bóg z wami! po-  
wiadam jej na to,

A ujrzawszy, że biedna znużona jest srodze po-  
dróżą,

Sam wyniosłem jej chleb, i masło, i świeże wi-  
sienki.

Jadła jeszcze ze smakiem, gdy zbliżył się do nas  
mój Lubuś,

Ukochany pieszczoszek, i chwycił ze stołu kęs  
chleba,



Boć dzieciaki łakome są zawsze; aż chytre stwo-  
rzenie

Jak go skrobnie pazurem po pyszczku, tak krew  
się poląła.

Widząc to, starszy mój syn Capikur za bratem  
się ujął;

Walka nie żartem zawrzała i ledwom roziańczyć  
ich zdołał.

Jeśli podstępna wiewiórka w tym boju, z jej  
winy powstałym,

Wąsy i ucho straciła, niech sobie to tylko przy-  
pisze.

Albo znowu ten kruk. W południe przybiegł  
sam do mnie,

Z wielkim lamentem zwiastując, że żona śmier-  
telnie mu chora,

Rybkę sporą połknąwszy niebacznie, razem  
z ościami.

Jam natychmiast pośpieszył z pomocą, lecz  
było już po niej.

Teraz zbrodniarz ten mówi, że ja zamordowałem  
Dzióbajkę.

Złem za dobre mi płacąc. Tak zwykle się dzieje  
na świecie.

Otóż, jeżeli mię kto obwinia o czyny haniebne,  
Niechże świadków postawi, jak prawo krajowe  
wymaga,

A jeżeli ich nie ma, to znajdzie się sposób i na to:

Jestem gotów do walki, niech sprawę rozstrzygnie sąd Boży.

Wszyscy obecni słuchali i wielce zdziwiła ich śmiałość,

Z jaką Reineke-lis uczynków się swoich zapierał.

I ulękli się kruk z wiewiórką i dwór opuścili.

Co tu czynić? szeptali. Z tym frantem nie sposób się wdawać;

Świadców czynu nie mamy, a walczyć z nim sił nam nie staje.

Daj go katu! niech lepiej ukarze go własne sumienie.

Ale Srogosz i Myś niechętnie ten odwrót widzieli;  
Bo gdy ozwał się król: Kto skarżyć chce, niechaj się zbliży

I niech świadków postawi—głębokie nastąpiło milczenie.

Tak to bywa zazwyczaj, odezwie się Reineke mądry;

Lubią strzelać z za płotu potwarcy i łgarze nikczemni,

Lecz gdy oko im w oko przychodzi stawać—pierzchają.

Wiedz, monarcho potężny, że zdradnie jest słuchać obmowy,

Gdy za oczy ją miota nienawiść na wierne twe sługi.

Słuchaj, rzecze mu król z powagą, ty zdrajco  
przebiegły,

Jakie cię лихо skusiło, że śmiałeś wiernego Do-  
brutkę,

Listonosza mojego, usidlić podstępem i zabić?

Wszakżem ci wszystko przebaczył, boś przy-  
rzekł publicznie poprawę

I w pielgrzymkę pobożną za morze wyprawić  
się miałeś,

Miast pokuty tymczasem, ty wciągasz w swe  
zbrodnie barana

I urągasz mej władzy przysłaniem mi giowy  
zająca.

Posel przyplacił już życiem; dziś kolej na ciebie,  
niecnoto.

Reineke na to: Co slyszyć! więc zacny Dobrutko  
nie żyje?

Ani baran, mój kum? O bogi, to klęska stra-  
szliwa!

Toć jam przez nich ci przesłał klejnoty tak  
rzadkie i cenne,

Jakich nigdzie już chyba nie znajdzie na świecie  
szerokim.

Któżby przypuścić mógł, panie, że baran zabije  
zająca

I pozbawi cię skarbów? Nikczemna to grabież  
i zdrada!

Ale nie słuchał go król i odszedł do swojej ko-  
mnaty,

Mrucząc gniewnie. Tam zastał królową z mał-  
peczką nadworną,

Grzeczną ukladną i mądrą, a wielce lisowi przyja-  
zną.

Ta, ujrawszy, że ten się zawziął, wyrzekła te  
słowa:

Ilekoć, królu i panie, na prośby me zważać  
raczyłeś,

Nigdyś się na to nie żalił i zawsze wybaczał  
wspaniale,

Gdym odezwać się śmiała, by gniew twój mo-  
narszy zlagodzić.

Chciesz i teraz wysłuchać, co powiem w obronie  
krewnego.

Jeśli prawdę mam wyznać, to mniemam, że  
Reineke może

Mniej jest winnym, niż sądzisz. Nieszczęściem  
zbyt wielu ma wrogów,

Ale zwykły to los wyższości, że niechęć obudza.

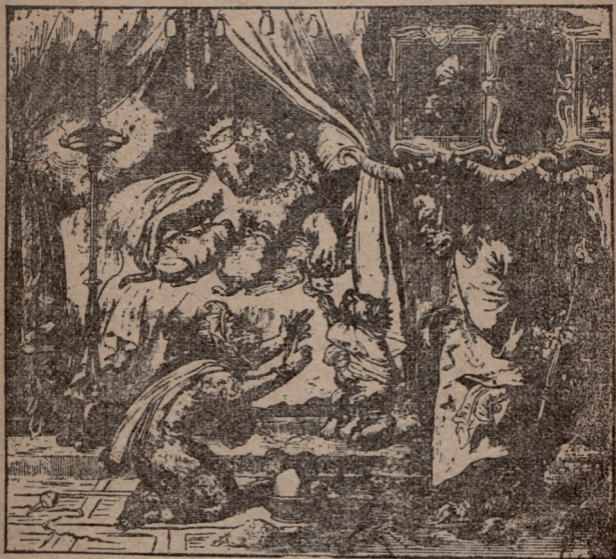
Myś i Srogosz zazdroszczą lisowi i radzi, gdy mo-  
gą

Łatkę przypiąć biednemu, choć sami nie święci  
zaprawdę.

Jakże dziwić się możesz, że pragnę ukarać zbro-  
dniarza,

Król zgryźliwie odeprze, gdy sługi mi moje  
zabija,

Szerząc postrach po kraju spokojnym, nad któ-  
rym panuję,



Zwykłym to losem wyższości, że niechęć we wrogach obudza.

A w dodatku zuchwale wypiera się niecnym  
swych czynów

I udaje wiernego, choć wszyscy nań skargi za-  
noszą?

Nie, nie zniosę już dłużej cierpliwie tych ma-  
tactw bezczelnych!

Znów się małpa odezwie. Szlachetny monarcho  
i panie!

Zawiść zwykle jak kret pod ziemią w ciemności  
nurtuje,

Bojąc się światła dziennego, i Reineke o tem  
wie dobrze;

Ale nic zatrzyć nie zdoła wspomnienia o licznych  
wypadkach,

W których ci mądrze poradził, gdy inni, zgłu-  
piawszy, zamilkli.

Wszak niedawne to dzieje, jak człowiek ze smo-  
kiem tu mieli

Sprawę bardzo zawiłą i nikt jej rozsądzić nie  
umiał;

Jeden Reineke tylko rzecz pojął i w sedno utra-  
fił.

Coś pamiętam, rzekł król; lecz szczegóły zajścia  
całego

W głowie się mojej zatarły; więc słucham opo-  
wiedz je, proszę.

Właśnie dwa lata się kończą, poczęła małpa,  
jak butnie

Smok przed tronem twym stanął i zaniósł skargę  
na chłopa,

Że dwukrotnym wyrokiem upornie poddać się  
wzdraga.

Otóż tak się rzecz miała: gadzina zachciała na  
łowach

Przeleźć dziurą pod płotem, lecz wpadłszy w si-  
dła, utknęła.

Wtem nadchodzi wędrowiec. Więc smok żało-  
śnie go błaga:

Pomóż mi, dobry człowiecze! A on odpowie  
mu na to:

Chętniem uwolnić cię gotów, bo czuję litość  
nad tobą,

Ale przysięgnij mi wprzód, że potem nie tar-  
gniesz się na mnie.

Smok poprzysiągł solennie, a człowiek go z pęt  
wyswobodził.

Poszli razem kęs drogi, aż nagle gadzina uczuła  
Głód dręczący i wnet na zbawcę się swego rzu-  
ciła;

Ledwo uniknął nieborak. Więc taka to wdzię-  
czność, zawołał,

Taka twoja przysięga?... A smok mu na to:  
Ha, trudno!

Toć walka o byt; potrzeba nie zważa na prawo.  
Chciej mię oszczędzić przynajmniej, struchlały  
wędrowiec znów rzecze,

Aż rozsądzi nas ktoś.—Gadzina zgodziła się  
na to.

Więc szli dalej w milczeniu i kruka spotkali  
na drodze.

Sądź nas, mówi mu smok. A ten, gdy sprawy  
wysłuchał,

Skazał człowieka na śmierć, w nadziei, że sam  
coś obliże.

Górą moja! zakrzyknie gadzina, nie ujdiesz  
mi cały!

Ale chłop jej odpowie: To znany rozbójnik i zło-  
dziej,

Jakże sędzią mu być? Zakładam rekurs i żą-  
dam,

Aby kto inny w tej sprawie ferował wyrok bez-  
stronny.

Idźmy, rzecze gadzina. Wtem wilk nadchodzi  
z niedźwiedziem.

Rada w radę, i znowu niestety skończyło się  
na tem,

Że na skargę powoda tej treści wyrok wydano:  
Smok, gdy idzie o byt, niech zdusi człowieka  
i pożre,

Bo silniejszy jest głód od prawa i łamie przysię-  
gę.

Zadrzał biedny wędrowiec, a smok, zawzięty,  
bo głodny,

Już się rzuca na niego i sycząc, śliną nań bryzga.  
Wielką wyrządzasz mi krzywdę, z rozpaczą za-  
wolał skazany.



Kto cię panem uczynił nad życiem mojem, potworo?

Wyrok, smok mu odpowie: przegrałeś dwa razy, mój bracie.

Nie, odezwie się człek, rabusie nas sądzić nie mogą;

Pójdźmy raczej do króla, niech on rozjemcą nam będzie.

Wilk i niedźwiedź przystali, w nadziei, że sprawę wygrają.

Tedy zwaśnieni stanęli przed tobą, królu i panie.

Człowiek prawie ci począł, jak życie ocalił smokowi,

Jak gadzina przysięgła, że pomna doznanej przysługi,

Nie uczyni mu krzywdy, a teraz chce złamać przysięgę.

Smok nie zaparł się prawdy, lecz składał się prawem natury,

Prawem walki o byt, silniejszym od ustaw pisanych.

Więc cię, królu potężny, ogarnął frasunek nie mały:

Żal ci było potępić biednego człowieka; lecz znowu

Nie mieć względu na głód, niesłuszną się rzeczą wydało.

Radcy korony toczyli rozprawy szerokie i długie,

Ale się zgodzić nie mogli na jedno. Natenczas  
wezwałś

Reineke-lisa i jemu łazaleś rozstrzygnąć tę  
sprawę.

Reineke strony przesłuchał, a potem powiedział  
te słowa:

Zanim wyrok ogłoszę, potrzeba, abym rozpatrzył  
Miejsce czynu dokładnie i ujrzał jak wszystko  
się działo.

Kazał więc związać nanowo gadzinę pod pło-  
tem chruścianym

I przemówił: Panowie, wszem wobec wiadomo  
się czyni!

Obie strony w tym samym co przedtem obecnie  
są stanie,

Zatem treść się wyroku w tym sensie najslu-  
szniej przedstawia:

Jeśli wola człowieka, niech smoka powtórnie  
rozpęta;

Jeśli zaś lęka się tego, to niechaj go w sidłach  
zostawi

I odejdzie swobodny. Tak mniemam, że bę-  
dzie w myśl prawa.

Wyrok ten wówczas się bardzo podobał i tobie  
i radzie;

Chłop dziękował ci, królu, a lisa roztropność  
chwalono.

Przecież Srogosz i Myś, jakkolwiek niezbędni  
na wojnie,

Bo i silni i mężni, do rady nie zdali się wcale.

Oni tylko polują na zdobycz i chętnie, gdzie  
mogą,

Pieczeń swoją kryjomo przy cudzem upieką  
ognisku.

Lis przeciwnie i mądry jest wielce, i w zdaniu  
wytrawny,

A że czasem pobłądzi, mój Boże! toć krew nie  
jest wodą.

Racz mu, królu szlachetny, wybaczyć, błagam  
cię o to!

Ha, zobaczę, rzekł lew, i wszystko zasadnie roz-  
ważę;

Ale frant to nad franty, a sojusz z nim zawsze  
zdradliwy,

Bo wywinie się zrzecznie i w pole współnika wy-  
wiedzie;

Wilk, i niedźwiedź, i kot, wiewiórka i kruk nie-  
chaj świadczą.

Temu ucho oberwie, tamtego oka pozbawi,  
Życie wydrze trzeciemu. Doprawdy, nie wiem  
jak możesz

Tak go bronić. — Łaskawy monarcho, odpowie  
mu małpa,

Lis ma możnych krewniaków, z którymi ra-  
chować się trzeba.

Więc wyszedłszy z komnaty, po jednej ujrzał  
król stronie

Licznych lisa przyjaciół, po drugiej wrogów.  
Dwór cały,

Wraz z rycerstwem i radą, na dwa się rozdzielił  
obozy.

I odezwie się lew: Posłuchaj mnie, Reineke-li-  
sie!

Czem uniewinnić potrafisz spełnioną, z baranem  
pospołu,

Zbrodnię na biednym Dobrutce? Toż woła  
o pomstę do nieba!

Biada mi! lis mu odrzecz. O, wolałbym nie żyć  
już raczej!

Zdrajca baran uronił klejnoty tak rzadkie i cen-  
ne,

Jakich już chyba na świecie śmiertelnik żaden  
nie ujrzy.

Zając przypłacił to życiem, bom skarb im obu  
powierzył,

Aby go tobie przynieśli; lecz baran snadź zabił  
Dobrutkę

I zagarnął klejnoty. Ach, gdybyż odszukać je  
można!....

Starać się o to będziemy, ciekawa przerwie mu  
małpa,

Tylko opisz nam wprzód dokładnie kosztowne  
te dary.

---

## PIEŚŃ DZIESIĄTA.

---

Wielki królu rozpoczął opowieść swą mówca  
przebiegły,  
Niechże wolno mi będzie opisać te cenne przed-  
mioty,  
Którem przeznaczył dla ciebie, a choć nie do-  
szły rąk twoich;  
Niema mojej w tem winy, bo zamiar żywiłem  
najszczerzy.  
Dobrze, odrzekł mu król, słuchamy, lecz sprawże  
się krótko!

Pierwszym klejnotem był pierścień, poważnie  
ciągnął lis dalej,  
Godzien jaśnieć, zaprawdę, w monarchy nasze-  
go skarbnicy.  
Wewnątrz pierścienia czarodziej trzy słowa  
wrył hebrajskie,  
Których znaczenia tajnego nikt w kraju rozwi-  
kłać nie zdołał.  
Ale był rabin w Trewirze, co znał się na takich  
napisach.  
Gdym mu ów pierścień pokazał, zawołał: Cudo-  
wne własności  
Z tym się wiążą klejnotem; bo kto go posiada i  
nosi,

Tego ni ogień, ni piorun, zaraza ni urok nie do-  
tkną;

Nie dokuczy mu mróz i późnej doczeka staro-  
ści.

A ten oto karbunkuł, co nawet śród nocy się  
świeci,

Wszystkie leczy choroby i w drodze od przygód  
ochrania;

Kto nań naczco popatrzy, ten w walce stu  
wrogów pokona,

Nie zaszkodzi mu nic trucizna, ni ludzka niena-  
wiść.

Tak mi rabin objaśnił przymioty pierścienia  
owego.

Zaraz więc zamiar powziąłem, by tobie, monar-  
cho potężny,

W darze klejnot ten złożyć, bo sam niegodnym  
się czułem

Talizmanu takiego. Niech król go posiadzie,  
myślałem,

Co nad nami wszystkimi ojcowską opiekę roz-  
ciąga.

Dalej baran miał wręczyć królowej zwiercia-  
dło i grzebień,

Cudnej także piękności. Toć nieraz niewiasta  
się moja

Napierała je posiąść, lecz jam i mówić jej nie  
dał,



Dziób mu w paszczę wsunąwszy, ostrożnie z niej kostkę wydobyl

Bo oddawna pragnąłem gorąco, w hołdzie wdzięczności,  
Złożyć je zwierząt władczyni, co tyle dowodów  
mi dała  
Miłościwej swej łaski. Niestety, nie powiódł  
się zamiar!  
Grzebień był z kości pantery, bielutkiej jak  
srebro i wonnej;  
Na nim, w rzeźbie wypukłej, nieznany sztuk-  
mistrz przedstawił,  
Jako Parys, hołdując Wenerze, doręcza jej  
jabłko,  
A dokoła tej rzeźby biegały prześliczne floresy,  
Od lazuru, karminu i złota, w misternym ukła-  
dzie.

Teraz w kilku wyrazach zwierciadło opiszę cu-  
downe,  
Wielki kryształ, miast szkła, odbijał w niem  
wszystkie przedmioty,  
Dniem czy nocą, i jeśli patrzący na twarzy miał  
skazę,  
Wnet ginęła mu ona bez śladu. Na ramie  
zwierciadła,  
W malaturze ozdobnej, przepięknie jaśniały  
obrazy,  
A pod każdym z nich napis stosowny, złotemi  
głoskami.  
Więc na czele jak koń stepowiec. zazdroszcząc  
rącości



Jeleniowi, wszedł w znowę z człowiekiem, na  
zgubę rogacza;  
Lecz zaszczwany na śmierć, sam zdradę swą  
życiem przypłacił.  
Tak to chytróść i podstęp we własne się sidła  
wikłają.

Potem jak w domu bogacza pies z osłem służyli  
wospołu.

Pies był w łaskach u pana i wspólnie z nim siadał  
do stołu,

Smaczne kąski zjadając, bo umiał się zręcznie  
pochlebić,

Machał wesoło ogonem, i skakał, i ręce mu lizał.  
Tedy osieł pomyślał: Jeżeli ten próżniak wię-  
rutny

Tyle względów doznaje za swoje mizdrzenie się  
głupie,

Ja, co ciężko pracuję, mam większe do wzglę-  
dów tych prawo;

Trzeba się tylko przymilić. I zaraz też po-  
biegł ku panu,

Począł skakać, i ryczeć, i lizać go z mlaskiem po  
twarzy,

Na ramiona mu kładąc kopyta, niezgrabnie, cię-  
żko.

Pan w obawie czy biedny się nie wściekł, skrę-  
pować go kazał.

Osieł zawsze jest osłem; nie jemu rozumnych  
iść torem.

Dalej było na ramie, jak ojciec mój z ojcem Mi-  
lusia

Wierność sobie przysięgłszy, wybrali się razem  
na łowy.

Wtem myśliwi ich zeszli, ze zgrają chartów za-  
żartych.

Kot, niepomny przysięgi, jak nie da susa na  
drzewo,

Tak zostawił kolegę i jeszcze natrzęsał się z nie-  
go.

Ojciec zaledwo ujść zdołał, podziemnej dopadł-  
szy pieczary.

Oto próbka, jak można zawierzyć rodowi ko-  
ciemu.

Dalej jeszcze ciekawe zdarzenie z żywota Srogo-  
sza,

Jak gdy gnaty ogryzał, kosteczka utkwiała mu  
w gardle.

Krucho było z nim bardzo, więc wołał ratunku  
co siła,

Obiecując nagrodę sowitą, lecz nikt mu nie po-  
mógł.

Wkońcu żóraw się zgłosił i dziób długi wraz  
z głową

W paszczę chorego wsunąwszy, ostrożnie z niej  
kostkę wydobył,

Ale gdy płacić wypadło za taką lekarską usłu-  
gę,

Wilk narzekać jął srodze, że żóraw skaleczył  
go dziobem.

Bądźże kontent, zawołał, żem głowy nie ugryzł  
ci wtedy,  
Gdy ją w zębach trzymałem. I tak go z niczem  
odprawił.

Te i inne przygody, tyczące się zwierząt i lu  
dzi,

Malowanie na ramie, zdobiły zwierciadło cudow  
ne.

Jam niegodnym się czuł takiego klejnotu, więc  
chciałem

Złożyć go w darze poddańczym królowej na  
szej i pani,

Ku wielkiemu strapieniu mych własnych dzie  
ciaczków pieszczotek,

Które igrać lubiły swawolnie około zwiercia  
dła,

Przeglądając się w niem i minki strojąc figlar  
ne.

Mógłżem wówczas przewidzieć, nieszczęsny, że  
dobre me chęci

Pocziwego Dobrutkę o śmierć zdradziecką  
przyprawią?

Eiada niecnemu mordercy! Lecz dociec ko  
nicznie należy,

Gdzie klejnoty te ukrył. Poruszę i ziemię i nie  
bo!

Miłościwy monarcho! Na głowie twojej spo  
czywa

Tyle spraw wielkich i ważnych, że pomnieć  
wszystkiego nie możesz.

Niechże wolno mi będzie wymieni ć ci ważną  
przysługę,

Którą niegdyś mój rodzic wyświadczył tu ojcu  
twojemu.

Król nieboszczyk zaniemógł, a stary mój przy  
nim piastował

Urząd zaszczytny chirurga, bo biegły był w sztuce  
leczenia:

Umiał zwichnięcia nastawiać i goić kości złama-  
ne,

Umiał zęby wrywać bez bólu i oczy uzdrawiać;  
Znał się także na pulsie i z niego poznawał cho-  
robę.

Otóż gdy niemoc się króla wzmagała tak szybko  
i groźnie,

Że o własnej już sile na łożu swem dźwignąć się  
nie mógł,

Pościgan o lekarzy sławniejszych od Lipska do  
Rzymu,

Ale wszyscy, zwątpiwszy, odeszli, kiwając głó-  
wami.

Wtedy nadszedł mój stary i rzekł: Monarcho  
łaskawy,

Niechaj zbadam twój puls. I stało się jako za-  
żądał.

Zatem, zważywszy stan rzeczy, w te słowa po-  
ważnie przemówił:

Jeśli wyzdrowieć chcesz, królu, to wilczą mu-  
sisz zjeść wątrobę,

Lecz potrzeba, by wilk miał najmniej lat siedem  
skończonych.

W izbie był krewny Srogosza, więc król się ode-  
zwie do niego:

Nie odmówisz mi waszeć zapewne tej małej  
grzeczności

i pozwolisz, by kuchta wykroił ci z ciała wątro-  
bę.

Ależ mam sześć lat dopiero, zawoła wilczysko  
struchlałe.

Mniejsza z tem, wtrąci mój ojciec, metrykę po-  
trzewie poznamy.

Więc mu w kuchni wyjęto wątrobę. Gdy chory  
ją spożył,

Wnet się zerwał na nogi i zaraz też lisa wierne-  
go,

W dowód szczerej wdzięczności, nadwornym  
mianował lekarzem,

Obdarzając go nadto biretem i złotą obrozą.

Dziś zmieniły się czasy, dziś ród nasz szlache-  
tny w niełasce,

A o dawnych zasługach monarcha i wspomnieć  
nie raczy.

Lada nicpoń-przybłąda na pierwsze się miejsce  
dostaje

Przez intrygi nikczemne, a tłumy biją mu czo-  
łem,

Choć łotr taki nie poprze nikogo, nie wzięwszy  
kubana,  
Bo i chciwy i skąpy. Gdy przyjdzie mu skórę  
nastawić  
Bodaj w króla obronie, to długo się waha i wzdra-  
ga,  
Tak jak oto ów wilk; a jednak od życia stu wil-  
ków  
Drozsze nam króla jest zdrowie i jego dostojnej  
małżonki.

Reineke, rzecze mu lew, słuchałem twej mowy  
cierpliwie.

Tego co ojciec twój działał nie pomnę, bom ma-  
ły był wtedy;

Ale o własnych twych sprawkach zbyt często  
mnie odgłos dochodzi,

Wiele mi złego zwiastując, a nic dobrego, -nie-  
stety.

Panie, odpowie mu lis, nie lubię sam siebie wy-  
chwalać,

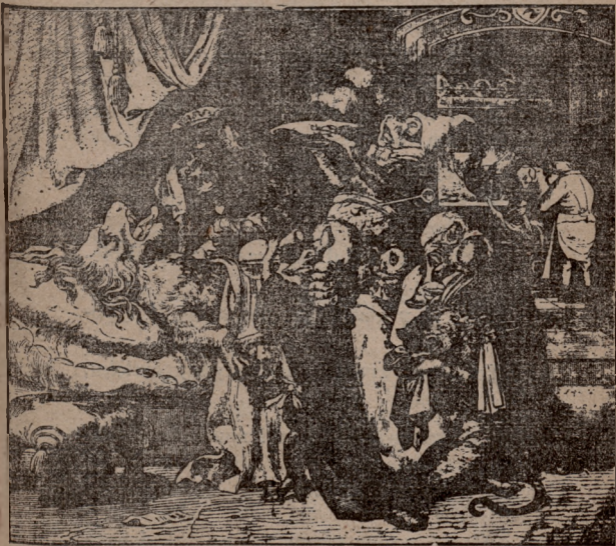
Lecz przypomnieć ci muszę, com tobie uczynił  
niedawno.

Razem z wilkiem-Srogoszem złowiliśmy wieprza  
karmnego.

Wtem ty, królu, nadszedłeś z małżonką, ha-  
niebnie zgłodniały,

I żądałeś posiłku. Wilk mruknął coś sobie  
pod nosem,

W złym widocznie humorze, a jam zawolał:  
O panie,



Więc mu w kuchni wyjęto wątrobę i chory spożył.

Wszystko co mamy jest twoje; lecz któż naszą  
zdobycz rozdzieli?

Wilk, odparłeś — A Srogosz ucieszył się wielce  
i począł

Mięso w kupki układać: więc ćwiartkę odsunął  
dla ciebie,

Drugą dla twojej małżonki, połowę zaś pożart  
sam chciwie,

Zostawiwszy mnie tylko śledzionę, ogonek i uszy.

Wyście swoją się częstką nasycić nie mogli  
oboje,

Ale on na to nie zważał i smacznie dogryzał bie-  
siady.

Wtedy tyś go pogłaskał po głowie swą łapą po-  
tężną,

Aż ociekła mu krwią. — Bezwstydnny żarłoku,  
ryknąłeś,

Ruszaj dostarczyć mi jada i naucz się dzielić  
uczciwie!

Na tom ja się odezwał nieśmiało: Jeżeli pozwo-  
lisz,

To pobiegnę z nim razem, a ręczę, że zdobycz  
znajdziemy.

Tyś na zamiar mój przystał i wkrótce schwyci-  
liśmy w polu

Tłuste cielę. Z rozkazu twojego jam strawę  
miał dzielić.

Rzekłem przeto: Połowa, o królu, do ciebie na-  
leży,



Druga do twojej małżonki; wątroba, serce i płuca

Dzieci waszych udziałem; dla wilka przeznaczam  
łeb cały.

Sobie nogi zostawiam, bo lubię ogryzać i-  
szczele.

Pochwaliłeś mnie wtedy i pytać począłeś ciekawie,

Kto mię tak dzielić nauczył. — Ta oto czaszka  
skrwawiona,

Była moja odpowiedź pokorna. Wszechwładny  
nasz panie!

Takich chciwców jak Srogosz zbyt wielu w kró-  
lestwie jest twojem;

Oni to trudu cudzego owoce zagarniać umieją,  
Niszcząc dobrobyt dokoła. O, stokroć, biada  
krajowi,

Który trutniów podobnych piastuje i żywi w  
swem łonie!

Miłościwy monarcho! Tak zawsze starałem się  
wszystko,

Co posiadam i umiem, poświęcać domowi two-  
jemu.

Ale cóż z tego, niestety, gdy wilk i niedźwiedź  
dziś górą,

Gdy przedniejsze im miejsce w swej radzie prze-  
znaczyć raczyłeś,

A co powie lis biedny, za podstęp i kłamstwo  
uchodzi.

Panie! dotknięty potwarzą tak ciężką, ustąpić  
nie mogę,

Muszę iść dalej na przebój. Jeżeli więc który  
z mych wrogów

Pragnie ponowić swą skargę, niech świadków  
postawi naocznych,

Niech majątkiem i głową poręczy za prawdę  
słów swoich:

Ja uczynię to samo. Niech Bóg nas i prawo  
rozsądzi.

Jako żywo, rzekł król, toć biegu prawa nie my-  
śle

W niczem zgoła tamować, tak zawsze czyniłem  
i czynię,

Wprawdzie mocnoś podejrzan o śmierć zacnego  
Dobrutki,

Ale niech o to się sprawa wytoczy przed są-  
dem właściwym,

Kto z was, szlachetni rycerze, ma skargę zanieść  
na lisa,

Niech ją złoży na piśmie i poprze świadków ze-  
znaniem.

Wielką łaska jest twoja, dostojny monarcho  
i panie,

Lis mu układnie odpowie. Każdego wysłuchasz  
i każdy

Z twych dobrodziejstw korzysta zarówno, czy  
wielki, czy mały.

Zręcznie Reineke frant w ten sposób językiem  
szermując,

Ująć umiał słuchaczów; wierzono mu niemal  
powszechnie,

Boć tak pięknie opisał klejnoty posłane królowi.  
Tak poważnie przemawiał, że podbił tem tłumy  
wrażliwe.

Sam król-Nobilis nawet, spragnion skarbów  
rzekomych,

W te słowa się odezwie: Posłuchaj mnie, Reine-  
ke-lisie!

Wkrótce w podróż cię wyszlę po świecie. Od-  
szukaj mi zgubę.

Zrób co możesz, a jeśli pomocy ci będzie po-  
trzeba,

Chciej zażądać jej tylko; nie myślę poskąpić ci  
zbrojnych.

Wdzięcznem sercem, lis rzecze, przyjmuję twą  
laskę monarszą;

Może wykryć potrafię zbrodnicze mordercy  
zamysły.

Szukać będę gorliwie i jeśli ślad jaki wynajdę

Owych klejnotów skradzionych królowi, to  
dotrę do źródła

I poproszę o pomoc, gdy sam się uczuję za sła-  
bymi.

Mile słuchał go król, bo Reineke klamał tak  
gładko,

Że wierzyli mu wszyscy; więc matacz odzyska  
nanowo

Względy monarchy swojego i wziętość wśród  
rzeszy zwierzęcej.

Ale Srogosz się wilk powstrzymać nie zdołał  
w swej złości.

Czyż podobna, wybuchnął, by król nasz i pan  
miłościwy

Bredniom oszusta dał wiarę, gdy łotr go dwu-  
krotnie okłamał?

Toć co tylko on powie jest fałszem i baśnią  
wierutną.

Lecz nie ujdzie mu już tą razą na sucho szal-  
bierstwo;

Ncwe wam zbrodnie wykryję niecnego złoczyńcy  
i łgarza.

Wprawdzie świadków nie stawiam, bo często  
postawić ich trudno,

Złe się nieraz samowtór odbywa, a zresztą nikt  
nie chce

Przeciw lisowi wystąpić; to sztuczka i szczwana  
i mściwa;

Ale miałbyż dlatego złoczyńca pozostać bez-  
karnym?

Nie, nie puszczę go dziś, a w braku świadków  
poręczam

Gardłem za prawdę mych słów. Niech walczy  
ze mną i zginie!

---

## PIEŚŃ JEDENASTA.

---

Najłaskawszy monarcho! tak ciągnął wilk dalej  
swą skargę,  
Reineke zdrajcą był zawsze i zwłaszcza rodowi  
mojemu  
Ciężkie wyrządzał zniewagi. Niedawno na-  
przykład namówił  
Zacną moję niewiastę, by poszła z nim rybek  
nałowić.  
Trzeba, radził jej łotr, zapuścić kitę do stawu  
I potrzymać ją długo, a rybki się do niej przypi-  
ją.  
Uwierzyła łotrowi. Lecz wkrótce chwycił mróz  
tęgi;  
Więc zamarzła jej kita i ruszyć się z miejsca nie  
mogła.  
Wtedy Reineke-lis natrzęsać się począł z niebo-  
gi:  
Jakże rybki smakują? zapytał szyderczo i od-  
szedł.  
Szczęściem traf mię sprowadził w tę stronę.  
Zaledwom potrafił  
Lód mozolnie rozkruszyć i biedną ofiarę uwol-  
nić,  
Nie bez szkody, niestety, bo gdy się szarpała  
zbyt silnie,

Ćwierć ogona straciła. Na krzyk jej chlopi  
nadbiegli

I poczęła się wnet gonitwa. Jak żyję, nie by-  
łem

W tak straszliwych opalach. Dopiero, gdy cie-  
mność zapadła,

W bagnośmy uciec zdołali, pomiędzy sitowie  
i trzciny.

Ledwie skończył, lew rzekł: Niech sprawę tę  
sądy rozstrzygną;

Lecz i Reineke też ma prawo głos zabrać. Słu-  
chamy.

Królu! odezwie się lis, rzecz miała się całkiem  
inaczej.

Prawda, żem wskazał wilczycy, jak ryby najła-  
twiej jest łowić,

Ale któż mógł przewidzieć, że chciwość zbyte-  
czna ją skłoni

W wodzie przesiedzieć tak długo, aż kita jej  
cała zamarznie?

Tak to bywa na świecie: kto nazbyt wiele mieć  
pragnie,

Ten i celu nie dopnie i wszelkie korzyści postrę-  
da.

Dajmy już pokój tym rybom, małżonka odrze-  
cze Srogosza;

Toć na każdym się kroku podstępem kalacie  
i zdradą.

Raz, gdym poszła do studni, ujrzałam was na  
dnie we wiadrze,  
Do któregoście wleźli już nie wiem poco, do-  
prawdy.  
Niepodobna wam było wydobyć się z głębi sa-  
memu,  
Więc prosiliście mnie: siadajcie, kumeczko ko-  
chana,  
Ot tam, w drugie to wiadro; zjedzicie niem na-  
dół, a tutaj  
Mnóstwo tłustych jest ryb. Skuszona ponętą  
biesiadą,  
Weszłam głupia do wiadra i zaraz się spuszczać  
zaczęło,  
Podczas gdy drugie szło w górę; spotkałam się  
z wami wpół drogi.  
Dziwnem mi to się wydało. Powiedzcie, pyta-  
łam zdumiona,  
Zkąd się biorą te cuda? A wy mi na to obłu-  
dnie:  
Taka już kolej jest rzeczy: los zwykle, w miarę  
zasługi,  
Jednych wywyższa, a drugich poniża. I rzekł-  
szy te słowa,  
Wyskoczyliście z wiadra i nuże czmychać co siły.  
Ja tymczasem zostałam dzień cały, w pułapce  
schwytana,  
A wieczorem, gdy ludzie nadeszli i na dnie mię  
studni  
W wiadrze owem ujrzeli, dopieroż miałam się  
z pyszna.

Wyciągnęli mnie w górę i ledwo stanęłam u brze-  
gu,

Jak nie sypnie się na mnie grad razów od cepów  
i wideł,

Takem, srodze skrwawiona, za ledwo ujść z ży-  
ciem zdołała.

Ha, odpowie jej lis, toć pierwsza miłość od siebie.  
Razem nie mogliśmy uciec, więc lepiej że jedno  
przynajmniej

Wyszło z matni na sucho. A zresztą, powia-  
dam to szczerze,

Dla was z tych razów płynie zbawienna na przy-  
szłość nauka,

Aby ostrożną być zawsze. Na świecie matactwa  
jest wiele.

Nie pomogą wykręty i drwiny, podchwycił wilk-  
Srogosz,

Opowiedzieć mam jeszcze, jak niegdyś ten zdraj-  
ca nikczemny

Wymógł na mnie podstępem, żem wszedł do  
małpiej jaskini,

Aby mię oczu i uszu pozbawić; a mówił mi  
przedtem,

Że tam mieszka gościnną kuzynka jego z rodzi-  
ną.

Piękna, zaprawdę, gościnność! Myślałem, że  
otchłań to piekła.

Srogosz mówi od rzeczy, jak gdyby niespełna  
roзумu,





Wyjąc, uciekł za ledwo, bo nawet i bronić się nie mógł.

Lis mu przerwie, bo gada o małpach i małpiej  
jaskini,

Których tam wcale nie było. Dostojni pano-  
wie i bracia!

Małpy cenię wysoko i szczyć się ich parentelą;  
Ależ gnieździły się tam nie małpy szlachetne,  
lecz tylko

Koczkodany nikczemne, z długimi ogony i py-  
ski.

Mógłżem je uznać za krewnych? Osądźcie  
to sami bezstronnie.

Że samicę ich starą nazwałem kuzynką, to praw-  
da,

Ależ Srogosz wie dobrze, żem czynił to tylko  
z potrzeby.

Otóż tak się rzecz miała. Myszkując raz spo-  
łem po lesie,

Trafiliśmy w zaroślach na wejście do ciemnej  
jaskini.

Wilk, jak zawsze, był głodny, bo kto go też  
kiedy znał sytym?

Więc mu rzekłem: W tej oto jaskini jest jadła  
moc wielka;

Może mieszkańcy jej zechcą ugościć nas. Wej-  
dźmy do lochu.

Na to on mi odpowie: Wy, kumie, zręczniejsi  
odemnie

W takich się rzeczach sprawiacie. Zaczekać  
tu wolę pod drzewem,

Aż wrócicie, a wtedy się dowiem, co czynić mam  
dalej.

Jawnem było, że nicpoń na pierwszy mnie ogień  
chce wypchnąć,

Alem na to nie zważał i krętem się przejściem  
wsunąłem

W głąb jaskini. Tam widok mnie czekał obrzy-  
dły i wstrętny:

Gniazdo poczwar szkaradnych ujrzałem na  
zgnilem śmietniku;

Obok nich matka leżała, jak djabeł, tak czarna  
i brzydka;

Gębę miała szeroką i wielkie a ostre w niej zę-  
by;

Długie pazury u łap. Jak żyję, straszidła ta-  
kiego

Nigdzieś dotąd nie widział. Zmierzyła mnie  
wściekle ślepiami,

A i młode się też ruszyły zaczepnie z barłogu.

Źle być może, myślałem; ich tyle, a ja tu sam  
jeden;

Trzeba użyć wybiegu. Więc rzekłem: Kuzyn-  
ko kochana,

Śliczne macie dzieciaczki, a wszystkie podobne  
do matki.

Niechże się zdrowo chowają, ku waszej i świa-  
ta pociesze.

Zwinne to, miłe, pieszczone. Zaprawdę, cześć  
wam i chwała,

Że potomki takimi szlachetny ród nasz mno-  
życie.

Takem mówił, choć w duszy myślałem zupełnie  
inaczej;

Alem ją ujął pochlebstwem i rada też przyznać  
się chciała

Do rzekomych krwi związków. Więc grzecznie:  
Witam was, wuju czcigodny! O jakże wdzię-  
czną wam jestem,

Żeście odwiedzić mnie przyszli! Toć męża tak  
wielkiej zasługi

Dzieci moje brać winny za wzór rozumu i cnoty.  
I poczęła mi znosić specyałów przeróżnych bez  
liku;

Więc sarninę, i ryby smażone, i smaczne owoce,  
A gdym najadł się już dowoli, przyniosła mi je-  
szcze

Spory udziec jeleni, w gościńcu dla żony i dzieci.  
Odwiedzajcież mnie często, prosiła, gdym zegnał  
poczwarę,

Wtył się przytem cofając ku wyjściu, bo odór  
piekielny

Dech tamował mi w piersi. — Pod drzewem za-  
stałem Srogosza,

Zgłodniałego straszliwie. Uniosłem się nad nim  
litością

I oddałem mu część najlepszą jeleniej pieczeni.  
Ledwie skończył biesiadę, gdy jął mnie badać  
ciekawie ,

Co widziałem w jaskini. Jam prawdę powie-  
dział mu szczerą,

Że przebrzydłe tam gniazdo znalazłem, lecz  
jadła obfitość.

Jeśli chcecie część swoją otrzymać, dodałem ży-  
czliwie,

Idźcież śmiało do lochu, lecz radzę wam, bądźcie układni.

Grzeczność nigdy nie wadzi. Kto przywykł  
zawsze i wszędzie

Mówić to tylko co myśli, ten nigdy się z nikim  
nie zgodzi,

A kto rąbie na odlew, najłatwiej sam guza oberwie.

Takem go uczył roztropnie. Lecz on oburknął  
się na to.

Wiem i bez was co mówić, zawołał i wszedł do  
jaskini.

W głębi siedziała samica. Zaledwo ją ujrzał,  
wykrzyknął:

A toż chyba piekielne tu czarty obrały siedzibę!  
Odór.... aż puchnie mi nos, a małe poczwary te  
wasze

Jakże szpetne i straszne! Najlepiej potopić  
je wszystkie,

Żeby się takie brzydactwo rozmnażać po świecie  
nie mogło!

Wścikie zerwała się matka. — A któż to prosił  
waszeci

O te grubiańskie uwagi i kto ci wejść tu pozwolił?

Zasię tobie od moich dzieciaczków! Czy piękne,  
czy brzydkie,

Nic ci do nich, ty gburze! Toć Reineke był tu  
przed chwilą,

Mąż stateczny i mądry. On pieścił te moje  
aniolki,

Zwąc je światą ozdobą i mieniać się naszym krew-  
niakiem.

Precz mi ruszaj natychmiast! — I gniewnie sko-  
czyła na wilka.

Pazurami go szarpiąc zajadle i gryząc zębami.

Koczkodany też małe poczęły go skubać i dra-  
pać,

Tak, iż zewsząd obkoczony, nieborak i bronić się  
nie mógł.

Wyjąc, uciekł zaledwo i sam mi to wszystko  
opisał.

Racze teraz osądzić bezstronnie, monarcho la-  
skawy,

Czy mi słusznie wilk-Srogosz zarzuca matactwo  
i zdradę.

Co tam długo rozprawiać! słowami nie dojdziem  
tu ładu,

Wilk mu na to odpowie. Niech walka śmier-  
telna rozstrzygnie

Przy kim słuszność i prawda. Umiecie gardło-  
wać bezczelnie

I przechwalać się tem, co nigdy nie było. Toć  
wtedy

Kość mi daliście tylko, bo mięso ogryźliście sami.

Kto drwi ze mnie złośliwie? Kto szarpię dobrą  
mą sławę?

Kto mię spótwarzył, że spisek ukułem na ży-  
cie monarchy?



Reineke na bok odskoczył i kitą czy mu zasł.

Kto śmiał króla okłamać i ludzić go skarbem  
rzekomym?

Kto mą żonę znieważył?... Ty, stokroć ty!  
lotrze nikczemny!

Jesteś zbójcą, powtarzam, zdradzieckim oszu-  
stem, złodziejem!

Więc do boju na śmierć i życie wyzywam cię  
jutro;

Rękawicę ci rzucam na zakład, rycerskim zwy-  
czajem,

Biorąc wszystkich na świadki, i króla, i za-  
cnych tych mężów,

Że pokonać cię chcę w uczciwej przed nimi roz-  
prawie.

Lis pomyślał: Co będzie, to będzie! Gra idzie  
o życie;

On jest duży, ja mały, to prawda, lecz z takim  
niezdarą

Jeszcze sobie dam radę, boć jestem i krzepki  
i zwinny.

Więc przemówił do wilka: Słuchajcie: choć mniej  
jestem silny,

Staję z wami do boju. Oddawna już tego pra-  
gnąłem.

Niech nas niebo rozsądzi. Ot, rękawica i mo-  
ja.

Tedy lew się odezwie: Potrzeba, by strony  
obydwie

Zakładników nam dały, że jutro do walki się  
stawią.



Więc ręczyli za wilka Myś-niedźwiedź i kot  
jednooki.

A za Reineke-lisa syn mały i borsuk zwany Ko-  
smacz.

Gdy się już wszyscy rozeszli, zbliżyła się mała  
do lisa.

Wuju, rzecz, nauczyć was mogę zaklęcia takie-  
go,

Co cudownie ochrania rycerza, gdy idzie do boju.  
Kto je naczco odczyta, ten wolnym przez całą  
już dobę

Będzie od śmierci i ran. — Dziękuję wam, lis  
jej odpowie,

Za życzliwość w złej doli. Lecz sądzę, że lepiej  
niż wszystko

Zręczność mnie moja obroni, i na nią też liczę  
najwięcej.

Przetoż nocną się porą lis ostrzydz kazał kró-  
ciutko

I namaścić tłustością, by łatwiej się wymknąć  
w potrzebie.

Przyjaciele czuwali z nim razem i ledwie nad  
ranem

Spać się trochę położył. — Gdy słońce weszło  
nad lasem,

Borsuk go Kosmacz obudził, a mała na pierw-  
sze śniadanie

Młodą mu kaczkę przyniosła. Lis zjadł ją  
i wszedł do areny.

## PIEŚŃ DWUNASTA.

---

Król, gdy ujrział jak lis się ostrzygł i tłuszczem  
namaścił,

Aż się od śmiechu pokładał. — Toż kto cię nau-  
czył tej sztuki?

Rzekł wesoło. Zaprawdę, niepróżno cię fran-  
tem świat zowie:

Gdzie przeskoczyć nie możesz, tam podleć  
chylkiem potrafisz,

Reineke nisko się skłonił królowi, osobno kró-  
lowej,

I rączemi skokami jął szranki obiegać wokoło.

Tam już czekał nań wilk, w przyjaciół i krew-  
nych swych gronie;

Wszyscy oni gorąco pragnęli lisa porażki,

Więc i groźby i klątwy z ich kółka sypnęły się  
gradem.

Ale lampart i ryś, królewscy porządku nadzor-  
cy,

Usunęli ich wnet i obu walczących wezwali,

By przed bojem złożyli przysięgę, jak prawo  
wymaga.

Srogosz pierwszy poprzysiągł przed królem,  
słowami groźnemi,

Że mordercą jest lis, złodziejem i zdrajcą nik-  
czemnym,

Cudzołózcą i łgarzem, jak świat nie widział drugiego.

Potem Reineke znów przysięgę złożył spokojnie,

Że do żadnej z tych zbrodni poczuwać się nie ma powodu,

Że wilk kłamie bezczelnie i podle, jak czynić zwykł zawsze.

Rzekli tedy nadzorca: Czyń każdy, co czynić wypada!

Prawda się wkrótce wykaże. — I wszystkim kazali wyjść z koła,

Zamykając w niem tylko samowtór walczących rycerzy.

Wtedy małpa szepnęła lisowi; Trzymajcie się ostro

Wuju, a jeśli potrzeba, nie gardźcie i zręcznym wybiegiem.

Na to rzecze jej lis: A toć to moja zasada,

Żeby zawsze i wszędzie przebiegłość łączyć z odwagą.

Z cięższych już nieraz opalów tą drogą zwycięsko wybrnąłem,

Więc mam w Bogu nadzieję, że wkrótce pokonam złoczyńcę,

Który sławę mą szarpie. Nie bójcie się o mnie, kuzynko.

Widze po za szrankami skupionym ordynkiem stanęli,

Z gorączkowym zajęciem na walki czekając wy-  
padek.

Srogosz pierwszy się rzucił, szeroko pysk roz-  
dziawiwszy,

I potężne pazury zajadłe na wroga nasrożył.  
Ale Reineke, lżejszy, uskoczył na bok i kiteę  
Szybko w kałuży umaczał, a potem w piasku po-  
tarzał.

Gdy więc Srogosz natarcie ponowił, jak machnie  
go nagle

Kitą po głowie znieńacka, tak pyłem oczy mu za-  
suł;

Potem stanął pod wiatr i ziemię kopiąc łapami,  
Wzniecił tuman kurzawy pomiędzy sobą a wro-  
giem.

Wilk nieborak jak mógł przecierał ślepią i ki-  
chał,

A przeciwnik tymczasem korzystał z fortelu  
swojego,

Ponawiając ataki ogonem i gryząc a szarpiąc  
Oślepiłone wilczyisko. Już nawet je schwycił za  
gardło;

Lecz się siłacz uwolnił szarpnięciem jednym i dru-  
gim.

Wtedy zwinny mu lisa do pyska znów skoczył  
znieńacka

I wydrapał mu jedno ze ślepi. Wilk wściekle  
się rzucił,

Czerpiąc siłę w rozpacz, i lisa do ziemi przyci-  
snął.

Kruczo było już z Rudym, nie zdały się na nic  
wybiegi,

Bo gdy łapy przedniemi się bronił, wilk chwycił  
z nich jedną

I przytrzymał zębami. — A tuś mi, warknął,  
złodzieju!

Przyszła kreska na ciebie. Zapłacę ci wszystko  
z okładem,

Coś mi złego narobił. Krzycz pardon, bo nogę  
ugryzę!

Reineke myślał: Co czynić? Jeżeli się pod-  
dam, to zhańbię

Siebie i cały swój ród na wieki; jeżeli przeciwnie,  
Łotr ten gotów mnie zabić, bom nieraz dokuczył  
mu srodze.

Więc słodkiemi się słowy wilkowi przymila  
i rzecze:

Kumie, chłopska to rzecz borykać się z sobą po  
ziemi;

Nie tak walczą rycerze. Wszak mogłem was  
przemódz przed chwilą,

Alem się względnie zachował, bo zawsze dla  
męstwa waszego

Wielki miałem szacunek. Drasnąłem wam oko  
przypadkiem,

Czego szczerze żałuję; lecz jeśli mnie żywym pu-  
ścicie,

Mam lekarstwo i na to: zagoi się rana niebawem.

Wyście silni, ja zręczny; a gdy dwie takie po-  
tęgi

Złączą się w sojusz wieczysty, świat cały do  
nich należy;

Nam nie walczyć ze sobą, lecz działać w przyja-  
źni i zgodzie.

Chytry złoczyńco, odpowie mu Srogosz, wykrę-  
cić się pragniesz!

Nie chcę z tobą sojuszu, bo kłamca jesteś i po-  
dły!

Mówisz, żeś mnie oszczędzał: a oko, a uszy,  
a skóra!

Piękne w istocie karesy! Doprawdy, że byłbym  
ciemną,

Gdybym litością się uniósł, trzymając cię  
w zębach i dusząc.

Zręcznym jednak fortelem lis zyskał tyle na  
czasie,

Że nieznacznie wilkowi pod mięksiz u brzucha  
podsunął

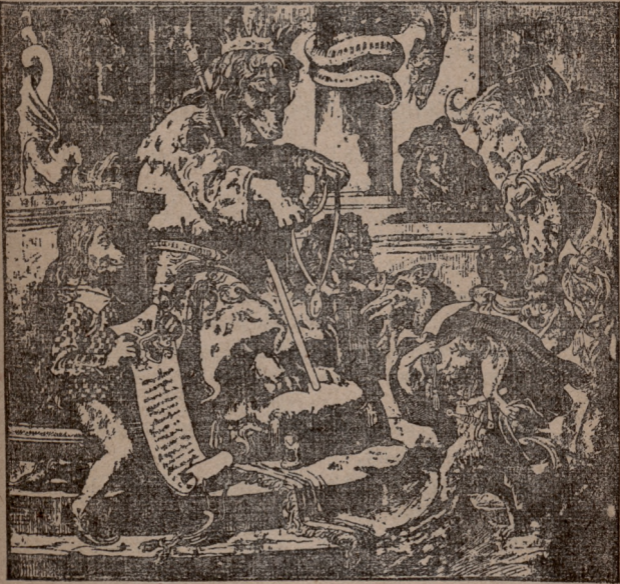
Drugą łapę i począł zajadłe mu szarpać wnętrzo-  
ści.

Srogosz z bólu zaryczał i paszczę szeroko roz-  
tworzył,

A w tej samej też chwili lis łapę wyrwał mu z zę-  
bów,

By oburącz już teraz go targać i srodze kaleczyć,  
Krew pociekła strumieniem; wilk runął, przy-  
tomność straciwszy,

A zwycięzca go włókł, na znak tryumfu, po  
szrankach.



Więc mianuję cię swoim następcą i państwa kanclerzem.

Ale liczni stronnicy Srogosza rzucili się hur-  
mem,

Prosząc króla, by walkę zabójczą przerwać roz-  
kazał.

Więc gdy skinął monarcha, szlachetni nadzor-  
cy porządku,

Ryś i lampart, wkroczyli do koła, zwiastując  
lisowi,

Jako życzeniem jest króla, by z wilkiem zapa-  
sów zaniechał.

Chciejcie, rzekli, darować mu życie, bo czyliż  
Korzyść wam jaką przyniesie? Wszak wszyscy  
byliśmy świadkami,

Żeście w boju go zmogli. Od dziś i wielkich  
i małych

Już napewno możecie za swoich uważać stron-  
ników.

Wdzięczny za to im będę, układnie odpowie-  
lis mądry,

A życzenie królewskie najchętniej radbym też  
spełnić,

Boć mi dosyć zaszczytu, żem w walce rycerskiej  
zwyciężył;

Ale niech wolno mi będzie zasięgnąć wprzód  
zdania krewniaków.

Hurmeni tedy krzyknęli: Niech stanie się  
wola monarchy!

I podbiegli do lisa i borsuk, i małpa, i żmija,



Grzeczne prawiąc mu słowa, a nawet cisnęli się  
tłumnie

Przeciwnicy niedawni, więc soból, wiewiórka  
i inni.

Ci, co przedtem nie chcieli i spojrzeć na Reineke-  
lisa,

Teraz czołem mu bili pokornie, schlebiając zwy-  
cięzcy.

Tak to zawsze na świecie: szczęśliwym się wszy-  
scy kłaniają,

Lecz w niedoli się tłum przyjaciół rzekomych  
odwraca.

Więc i tutaj chciał każdy hołdować gwieździe  
wschodzącej:

Jedni grali lisowi na fletach pienia pochwalne,  
Inni hymny śpiewali, lub grzmieli w kotły i sur-  
my,

I tak z wielkim tartasem i wrzawą powiedli  
go wreszcie

Przed oblicze monarchy.—Gdy Reineke ukląkł  
z pokorą,

Król mu powstać rozkazał i rzekł do koła ryce-  
rzy:

Wierny sługa nasz, lis, zasłużył się dobrze tro-  
nowi,

Przeto od kary go wszelkiej zwalniamy i łaską  
darzemy!

Dzięki ci, królu potężny, odezwie się Reineke  
skromnie;

Słowo mię twoje wywyższa, nie własna moja za-  
sługa.

Wszakże przedtem się wszyscy lasili mojemu  
wrogowi,

Bo wiedzieli, że silny i w łasce monarchy naszego  
Wyżej odemnie położon; lecz teraz zmieniły się  
rzeczy:

Tłumy ku mnie się garną, a jego w nieszczęściu  
znać nie chcą.

Miłościwy mój panie! na wieki ci wiernie ota-  
dany,

Będę zawsze i wszędzie twą wolę spełniał gor-  
liwie.

Wdzięcznie, lew mu odpowie, przyjmuję życzli-  
we twe chęci.

Odtąd znów cię przybieram, jak dawniej, do  
boku mojego

I do tajnej mej rady. Przywracam ci honor  
i władzę,

Tusząc, że na to zasłużysz. Zaprawdę, jeżeli  
potrafisz

Cnotę połączyć z mądrością, to nikt ci dorównać  
nie zdoła.

Więc mianuję cię swoim zastępcą i państwa  
kanclerzem,

Piecczęć ci wielką oddając, a wszystko co w mo-  
jem imieniu

Zrobisz, lub zrobić polecisz, przyjmuję i z góry  
zatwierdzam.



Król powierzył mi pieczęć, bym go mógł zastąpić w potrzebie.

I tak Reineke-lis znów stanął na szczycie potęgi.  
Srogosz jęczał tymczasem pół martwy, w straszliwej boleści;

Przyjaciele i żona złożyli go z płaczem na noszach

Miękko sianem wysłanych i z koła ostrożnie wynieśli.

Kilkanaście miał ran. Więc zewsząd się zbiegli lekarze.

Opatrzono chorego i dano mu krople na poty,  
Wreszcie go maścią natarto gojącą i ciepło przykryto.

Ale biedak spać nie mógł: dręczyły go ból i sromota.

Gdy to działo się z wilkiem, lis-kanclerz gwarzył wesoło

Z krewniakami swoimi i głośno go wszyscy wielbili.

Tedy z butną już miną się zegnał, a król na walecie

Rzec mu raczył łaskawie: Bądź zdrów, a wracaj nam prędko:

Reineke klęknął przed tronem i chyląc głowę, zawołał:

Królu, niech Bóg cię zachowa w swej pieczy,  
z królową jejmością!

Wszystko, czego zażadasz, ochoczo spełnię,  
Lecz teraz

Niechaj wolno mi będzie rodzinę odwiedzić stroskaną.

Lew zezwolił i wnet lis-kanclerz, z licznym orszakiem,

Jako pierwszy po królu, ku swojej pociągnął siedzibie.

Tam go żona witała radośnie i pytać poczęła,  
Co się stało na dworze; a Reineke rzecze jej na to:

Wszystko poszło jak z płatka; wróciłem do łaski monarchy

I do rady przybocznej. Co więcej, ku sławie wieczystej

Całej naszej rodziny, kanclerzem mnie państwa mianował

I powierzył mi pieczęć, bym mógł go zastąpić w potrzebie.

Z wilkiem krótkom się sprawił: już odtąd mię skarżyć nie będzie,

Bom go dobrze naznaczył, że pewnie ruski się miesiąc

Lizać będzie zmuszony, i wątpię by całkiem wyzdrowiał.

Liszka mocno się z tego cieszyła, a młode lisięta  
W pychę także urosły z wysokiej rodzica godności;

Więc Capikur i Lubuś obdarzać się wzajem poczęli

Kanclerzyców tytułem i zgóry patrzyli na drugich.

Oto koniec powieści o czynach Reineke-lisa,  
Z których płynie nauka, że mądrość góruje nad  
siłą.

Więc o wiedzę się tylko i cnotę ludziom ubie-  
gać

Zawsze i wszędzie należy, a reszta im będzie  
dodaną.

KONIEC.

TRZY

# WESOŁE HUMORESKI

1. Pierwsza scena małżeńska.
2. Figiel niedźwiadka. . . . .
3. O burmistrzu Czeczocie. . .



1910





# Pierwsza scena małżeńska

przez

Aleksandra Engel.

---

Jej samej wydawało się to staroświeckiem i dziecinnem. Ale nie chciała przerywać odrazu, więc pisywała dziennik po ślubie. Od lat najmłodszych przyzwyczaiła się powierzać mu wszystkie swoje radości i troski. Radości bywało dotychczas o wiele więcej, niż trosk. A mało było potrzeba do uciechy.

Przyznawała się w swoim dzienniku, że ma ochotę klaskać w ręce, ile razy służąca mówi do niej — pani, a nie panienko, jak mówiła służba w domu rodziców i że dlatego tak często dzwoni na Anusię, żeby to “pani” usłyszeć.

Jakże blademi wydają jej się teraz sceny miłosne w powieściach wobec jej własnych miesięcy miodowych!

Pochłaniała romanse na pensyi! — zapewne dlatego, że to było zabronione. Teraz już jej wszystko wolno i nacieszyć się tą wolnością nie może.

Przypominała sobie każdy szczegół poznania się z Henrykiem. W parę dni potem wpisywała do dziennika, że nie wie, czy zakochała się w jego niebieskich oczach, w ponsowych ustach, czy też w jego miłym głosie?

A po tygodniu pisała:

“Wiem, kocham to wszystko razem i każdy szczegół z osobna.”

Teraz kocha go stokroć mocniej i wierzyć sobie nie chce, że już jest jego żoną. Co dzień odkrywała w nim jakąś nową zaletę, codzień jest jej miłszym.

I oto teraz siedzi i przerzuca kartki dziennika i uśmiecha się. Dawne marzenia i pragnienia wydają jej się naiwne.

Chociaż... Kto wie... Pierwsza scena małżeńska może być bardzo miła.

Wyobrażała ją sobie jeszcze jako pensyonarka. Teraz może się przekonać, jak to wygląda w rzeczywistości.

...Trzebaby spróbować.

Ta myśl opanowuje ją wszechwładnie.

Tak, przy pierwszej sposobności musi zrobić mężowi scenę.

Sposobność się nie zdarza.

Mimo to pani Pola nie odstępuje od swego zamiaru i przeżywa już tę straszną chwilę— w myśli. Układa całą perorę, słyszy, jak zegar wybija godzinę bardzo późną — spóźnioną jeszcze przy jej współudziale. Sły-

szy kroki męża, powracającego "z hulanki" — i w tejże chwili zasypuje go wymówkami, skarży się na swe osamotnienie, na męską zmienność.

Jest naprawdę wzruszona, choć ta cała tragedia toczy się li tylko w jej wyobraźni. Bo mąż, jakby na przekór, całemi wieczorami przesiaduje w domu, przy niej. Nigdy mu nawet na myśl nie przyjdzie, pozostawić ją samą.

Pani Pola tęskni za pierwszą sceną małżeńską, i marzy o pierwszym — pogodzeniu się, tak słodkiem po kłótni.

Tyle razy o tem słyszała i czytała!

No, i musi czekać! Życie spełniło tyle jej marzeń, a tego marzenia spełnić nie chce!

Pani Pola pyta nieraz męża, czy nie zechciałby zobaczyć dawnych przyjaciół. On jej na to odpowiada, że niema najmniejszej ochoty i zwykle ją przytem całuje.

A jednak — przekłada mu pani Pola — warto byłoby im powiedzieć, że jesteś szczęśliwy. Niech ci zazdroszczą i żenią się.

Nie pobudzało to ambycyi pana Henryka, więc próbowała innego środka.

Chciała go wypłoszyć z domu — jadłospisem. Przez pewien czas na stół przychodził tylko rostbef. P. Henryk zajadał, twierdząc, że to jego ulubiona potrawa.

Scena była wciąż niemożliwą.

Aż wreszcie pewnego dnia traf przyszedł pani Poli z pomocą. Bywa on nieraz opatrzością ludzi wogóle, a małżonków w szczególności.

Pani Pola zapomniała swój dzienniczek na biurku — była tego dnia rano bardzo zajęta porządkami domowymi i wychodząc po sprawunki, nie schowała go, jak zwykle.

Wróciwszy do domu z biura, pan Henryk zobaczył leżący zeszyt i zajrzał doń ciekawie.

Dziennik otwarty był właśnie na kartce, w której pani Pola biadała, że nie ma sposobności wyprawić mężowi sceny.

P. Henryk uśmiechnął się pod wąsem. — Poczekaj, no — rzekł sobie — dziś wieczorem twoje marzenia się spełnią.

Przy obiedzie oznajmił, że spotkał przyjaciela, którego dawno nie widział i że mają spędzić wieczór razem — w knajpie.

Pani Pola ukryła swą radość. Żegnając męża, upominała go kilkakrotnie, aby wrócił wcześniej.

O! Henryku! Czemuż nie znajdujesz przyjemności w perlistym trunku! Siedzisz przy kieliszku szampana i zapomniałeś o nim zupełnie. Myśli twoje odbiegają do żony, tęsknota popycha cię w jej objęcia. Ale musisz przesiedzieć do późnej godziny, aby — sprawić jej przyjemność.

Okolo drugiej dopiero do domu powrócił. Zdjął buty w przedpokoju i na palcach, wsunął się do sypialni, tak sobie wyobrażała ten powrót marnotrawnego męża — nie chciał jej sprawiać zawodu.

Wszedł, zataczając się i nucąc jakąś hulaszczą piosenkę. Ćwiczył się w niej, idąc po schodach.

Pani Pola, ma się rozumieć, nie spała. Z bijącym sercem leżała wśród ciemności i przygotowywała "scenę." Zaledwie usłyszała kroki męża, zapaliła świecę.

Spojrzawszy na Henryka, zapomniała o wszystkich pięknych zwrotach swojej przemowy.

Miał twarz rozognioną i włosy roztargane. Łzy podchodziły do gardła biednej żony. Miała ochotę paść mu do nóg i przeproszać, że sama namówiła go do spędzenia wieczoru po za domem.

On stanął na progu, popatrzał na nią błędniemi oczyma:

— Późno już! Co? — bełkotał — zagadaliśmy się z przyjacielem... Pięć litrów reńskiego... dwie butelki szampana... On płacił... Upił się, jak bela... Ja jestem trzeźwy... Prawda?

Nie wyobrażała sobie, że wino może tak zmienić człowieka... Miała ochotę uciec daleko — jak najdalej.

Henryk postąpił parę kroków, zatoczył się, chwycił krzesło i sunął je przed sobą.

— Tutaj! Powinno stać tutaj — wołał. — Potem z nocnego stolika, porwał szklankę z wodą i rzucił ją o ziemię...

Pani Pola w płacz uderzyła.

— Nie becz! — wrzasnął. — Musisz się przyzwyczaić! Tak będzie codzien! Będę pił ze wszystkimi przyjaciółmi.

I nagle, zmieniając głos i postawę, spytał ją szeptem:

— A kochasz mnie, choć jestem pijany? Zanosila się od płaczu.

— Spójrzyj na mnie — rzekł, biorąc ją za rękę i nachylając się nad nią.

— Idź, idź, nie dam się pocałować — czuć cię winem — broniła się rozpaczliwie.

— A jakże będzie ze “sceną” małżeńską? — zapytał i wpół ją objął.

Podniosła oczy. Zobaczyła, że jest zupełnie trzeźwym i że patrzy na nią wesoło.

— Czytałeś mój dziennik? — rzekła zmieszana

— Tak, czytałem i jako dobry mąż, chciałem ci nastreczyć sposobność do zrobienia “sceny.”

Spuściła głowę zawstydzona.

Nie udała się pierwsza scena małżeńska. Natomiast nie zawiodło drugie marzenie. Pani Pola przekonała się, że pojednanie bywa bardzo miłe.

# FIGIEL NIEDZWIADKA.

(Opowiadanie ze starego kraju).

---

Sienkiewicz powiada, że talent to jest taki ptak, który się gnieździ, gdzie mu się podoba, raz w strzyżonym ogrodzie angielskim, drugi raz w dzikiej puszczy. Najzabawniejsze jednak kombinacye wynikają wtedy, kiedy się taki talent osiedli w duszy szlacheckiej, takiej z dziada pradziada hreczkosiejsko-bałagulskiej, co to żadnej innej sztuki, prócz powożenia, a polowania, żadnej innej nauki prócz heraldyki nie zna.

Takim właśnie okazem był nasz przyjaciel, Karol. Mam go jeszcze przed oczyma typ pośredni między parobkiem a paniczem, czoło białe od reszty twarzy, krzepki, choć niewysoki, tęgi i muskularny, dobrze zbudowany; zęby białe, jak u psa, wąsik szorstki, krótko przystrzyżony, oczy zaś... ach, w tych oczach siedziało właśnie całe jego szelmstwo. Palilo się tam w nich i migało coś wiecznie, jakbyś garść rzucił iskier do suchego chrustu, rozniecało się chwilami wilgotnym ogniem tkliwości, jak kiedy słońce miliony błysków krzesze z ruchomej fali, to znowu migotały chochliki niepohamowanej, nieokiełznanej swawoli. Tkwiła w tem dusza najprawdziwego "bohema," co to powinien

wieczyscie włóczyć się po świecie, gnieździć się gdzieś na poddaszu, orłim wzrokiem biegnąc ponad splątane dachy i wieżycy, albo za jakąś spódniczką gonić w przekrzywionej czapce “piero-  
rota” na głowie, pobrzękując na mandolinie lub “czem innym takim” — a siedziało to na Białejrusi w starym dworku pradziadowskim wśród lasów i moczarów, ujadać się musiało z chłopami o kawałek wypasionej łąki, z Żydami o zrąbaną w lesie osinę, siać nędzne żytko na piaszczystym gruncie, a dla załatania dziur w kieszeni, wycinać po barbarzyńsku całe kawały przepysznych lasów, które gdzieindziej w innym kraju i innym społeczeństwie stanowiłyby poprostu królewski dobytek. Zamiast przymierać wiecznie głodem, pasło się to na litewskiej wędlinie i wiejskich przysmakach i gorszyło rozmaite stare ciotki i stryjów “z zasadami” swoją cygańską manierą, bezprzykładnem zuchwalstwem języka i tą, zupełnie niekrępującą się swobodą, z jaką wydrwiwał rozmaite “wielkie ołtarze”, które, wprawdzie i oni uznawali, że można obejść doskonale i z tyłu za nimi wyprawiać, co się komu żywnie podoba, byleby z frontu przed nimi wybić należyty pokłon, a tego właśnie Karol nie chciał czy nie umiał.

Był on najprawdziwszym artystą z bożej łaski. Kiedy się zabrał czasem do roboty, to malował od rana do nocy o bożym świecie zapominając, nie jadł, nie pił nawet (tak, tak! nie wierzcie ja-  
li



nie chciecie!) i nie spoczął, aż póki nie skończył obrazu.

Zato potem całymi miesiącami nie tknął pędzla. Wszelkie gadania o "systematycznej pracy," o konieczności uprawiania "rzemieślniczej strony w talencie" i t. d. i t. d. rozbijały się o jego uszy, jak groch o ścianę. Tamci gadali zdrowi, on zaś na całe życie pozostał tym uczniakiem zdolnym, ale "hultajem," jakiego świat nie widział (w obcych stronach słowo "hultaj" znaczy "próżniak"), który potrafi zrobić wszystko i prędko i dobrze, ale tylko wtedy, kiedy odeń tego nie żądają.

Ażeby Karola nieco usatkwować i przywiązać go do gleby rodzinnej, ożeniono go w lat jego męskich zaraniu z panienką zacną, przystojną i nie biedną, oczywiście "dobrze urodzoną," w której się zresztą szczerze zakochał. Oj, co też ona nieboga w tem stadle wycierpieć musiała! Serce Karola lotniejsze niżli ważka, unosząca się na modrych skrzydłach nad letniemi wodami, polatywało to tu, to tam, wiecznie upojone miłością a nigdy niesyte. Zmysły jego zapalały się łatwo, płonąć takim płomieniem jasnym i wesolym, że od niego pomimowoli robiło się różniej nawet i w duszy małżonki, cokolwiekby tam czuła i myślała — taka moc życia biła od tego człowieka, taka swoboda i dziecinna radość, gdy tylko miał wszystkie swoje zachcianki zaspokojone.

Rzucił jej wówczas pełnemi garściami skrzące klejnoty dowcipu swego i talentu, ogarniał odurzającym ogniem pieszczot, przebierał ją i drapał, malował i fotografował, klękał w zachwycie przed jej urodą, ona zaś, rozkochana i rozbawiona razem, oszołomiona tym porywającym wirem uciechy, który on sam wkoło siebie umiał wytwarzać, tak że nie potrafiłoby lepiej i z pół tuzina wesołej kompanii — śmiała się zamiast płakać i nie wiedziała już co myśleć i czuła to jedno tylko, że tego najdroższego swego pustaka kocha nad wszystko w świecie.

Karol nadzwyczajnie lubił zwierzęta. Dochodził w tem wprost do absurdu. Szczęnięta nosił na rękach, hołubił i cmokał do nich, że śmiech było patrzeć. Wiecznie miewał to jakieś piskłęta wypadłe z gniazd, to wiewiórki, to jakoweś inne bestye na wychowaniu, a najczęściej spotykał to wszystko smutny koniec. Koniarzem oczywiście był zawołanym, jak wszyscy w jego rodzinie, natomiast wygasła w nim najzupełniej żyłka myśliwska, zanadto kochał te stworzenia.

Raz przywieziono mu z polowania małego niedźwiadka. Co z nim, było uciechy, tego żadne pióro nie opisze. Karol pieścił go, całował, portretował na wszystkie strony, cieszył się jego figlami, żadne z dzieci, które bocian przynosił pod jego strzechę od czasu do czasu nie dostarczyło mu tyle rozkoszy, co ten niedźwiedź. Reszta domowników mniej była zachwycona. Miś

okazał się niesłychanie psotnem stworzeniem. Nie było drzwi, którychby nie otworzył, szafy, do którejby się nie dobrał, jedzenia, któregooby nie złasował. Póki był mały, znajdowano go częstokroć na półce z mlekiem, pomiędzy garnkami, w których systematycznie maczał łapę i obliżywał ją smakowicie, a później niepotrzebny już garnek ciskał z góry na ziemię w sposób tak komiczny, że nawet zapłakana ochmistrzyni uśmiechała się poprzez łzy. Kiedy podrósł, trapieno się nieraz, że lokajczyk posłany po półmisek do kuchni w oficynie dłuższy czas nie wracał, aż nareszcie rozlegały się rozpaczliwe wołania o pomoc i ci, którzy nadbiegli, zastawali chłopaka dzierżącego z całej siły półmisek w obu rękach, naprzeciw zaś niego niedźwiadka, nie tak, jak on rozszrożonego, ale natomiast ze spokojnym uporem trzymającego również w kosmatych łapach brzegi półmiska, którego ani wyrwać...

Pewnego razu, właśnie gdy cały dom był pod znakiem niedźwiadka, zapowiedziała swe odwiedziny bogata nader, a niezamężna ciotka.

Zapanowało ogromne wzruszenie. Nareszcie raz Karolowi uśmiechnęło się szczęście! Będzie miał co puszczać! Takie i tym podobne zdania krążyły w rodzinie. Sam Karol, chociaż z pogardą odtrącał od siebie wszelkie zakusy filisterskie, nie mógł jednak bez lekkiego bicia serca myśleć o mogących nań przypaść krociach. Wieczorami przed zaśnięciem, w cichej komnacie małżeńskiej oboje z żoną czynili przegląd aneg-

dot, któreby się dało ciotce opowiedzieć, nie drażniąc zbytnio jej uszu, stara panna bowiem miała swój humorek szlachecki i lubiła czasem pośmiać się trochę, a w głębi jej niepokolanie dziewiczej, acz zawiędłej już duszyczki tkwiła pewna tęskna żądza przygód miłosnych nigdy dotychczas nie zaspokojona....

Zbliżał się dzień oczekiwany. Pani Karolowa dobyć kazała stare srebra familijne, które zawzięcie przecierano irchą, niecąc w nich coraz to żywsze, a matowe blaski. Z głębi bufetów wy dostały się na światło dzienne rozmaicie rżnięte kryształy, strząsając pył wielomiesięczny.

Ze "sklepu" i "apteczki" dobywano najprzedniejsze przysmaki, ażeby cną krewniaczkę olśnić bogactwem przyjęcia i przekonać ją, że nie byle komu przekazać może swoje dziedziczne majątki. Zaś w pokojach gościnnych trzepano, froterowano, wietrzono i palono na potęgę. Pani Karolowa wydobyła najwspanialszą wyprawną kołdrę atlasową, najbogatsze puchy i koronki, byle tylko szlachetnemu ciotczysku usłać najpiękniejsze dziewicze łóżeczko i dostarczyć jej snów słodkich, snów miłych, w których może powźmie jakicś zbawienne postanowienie!...

Karol chodził nibyto zły okrutnie, klnąc i wyrzekając, ale zarazem uśmiechając się pod wąsem na myśl o tej wspaniałej "szopie," jaką będzie przyjazd ciotki. Przypomniały się potrochu maskarady karnawałowe z czasów kawalerskich.

Nadeszła wreszcie uroczysta chwila. Konie, tęga czwórka swego chowu, osadziły na miejscu przed gankiem karetę, która w trzydziestowiorstowej podróży przywiozła ze stacyi cennego gościa.

Wysiadła ciotka z powozu. Była to osoba średniego wzrostu, dobrej tuszy, o postaci przy ciężkiej nieco, ale dostojnej twarzy, przypominającej stylowe portrety z początków zeszłego wieku. Ten sam czuły sentyment w oczach nieprzyćmionych jeszcze całkowicie przez pochód lat i ta sama lekka figlarność uśmiechu pomimo zmarszczek płaczących się dokoła ust zawieźdłych. Karol z należytymi honorami wprowadził ją do domu, Karolowa swą prostą i miłą serdecznością ujęła ją odrazu, dzieci nieświadomie robiły co mogły, żeby wkraść się w serce ciotczyne, słowem wszystko składało się doskonale.

Wieczór upłynął mile na przyjaznej gawędzie, i, mimo, że z powodu cieplej pogody nie rozpalało tradycyjnego ognia na kominku, nastrój był przytulny i poufały. Ażeby strudzona drogą, mogła wypocząć, wszyscy rozeszli się dosyć wcześnie. W domu zapanowała cisza.

Nagle — krzyk rozdzierający przebił powietrze. Od kiedy stary dwór dworem, nigdy z pewnością wrzask podobny nie wstrząsnął jego posadami. Był to głos nieludzkiego jakiegoś przeżenienia, grozy i... zawodu razem, głos, jaki raz tylko w życiu wydrzeć się może z ludzkiej pier-  
si...

Zbiegli się wystraszeni domownicy w stronę, skąd krzyk ów dochodził, to jest do pokoju ciotki; wpada bez tchu pani Karolowa, nadleciał Karol, dzierżąc rewolwer w dłoni. Stanęli wszyscy na progu, i cóż ujrzeli?.. Jest kwiat, co zwykł rozkwitać w sferach tropikalnych, rozmiarów bywa ogromnych a odznacza się barwą brudno cielistą. Taki właśnie kwiat ukazał się zniecka oczom zdumionych mieszkańców Białejrusi, pod chłodnem niebem północy...

W głębi kominka, wciśnięta głową naprzód, tkwiła nieszczęsna ciotka górną częścią swej postaci, zaś reszta, na tle rozwianych w dzikim nieładzie spódnic, miotła się w bezsilnych skurczach przerażenia... A w "dziewiczym łóżeczku" wśród batystów i koronek, w ciepłych odblaskach szeleszczącej kołdry atlasowej spoczywał kto?... ogromne kudłate niedźwiedzisko, tonąc rozkosznie w miękkich puchach i szczerząc zęby z uciechy. — — — — — Oj, musieli się tym razem Karolowie pożegnać z sukcesą!

---

# O burmistrzu Czeczocie.

(Opowiadanie z podań ludowych.)

---

Na trakcie bocznym, od Sandomierza do Radomia wiodącym w odległości czterech mil od Sandomierza leży miasteczko Gliniany. — Założenie jego stare kroniki odnoszą do roku 1590, kiedy w tych miejscach były jeszcze rozległe lasy przetrzebione jedynie w miejscu gdzie glinę kopano. Ztąd też pochodzić ma nazwa miasteczka.

Otóż za panowania Jana III burmistrem miał być Szymon Czeczota. — Słynął on z pijaństwa, albowiem dziennie po sześć garncy miodu wypijał. — Pewnej zimy zabawiwszy się w pewnej karczynie zajezdnej na końcu miasta będącej przeciągnął pijatykę do późnej nocy. — Ludność miasta w głębokim śnie była pogrążona, gdy mocno odurzony trunkiem wracał do domu. — Pod ratuszem usadowił się wilk i siedząc na tylnych łapach czyhał na zdobycz.

Rozmarzony Czeczota w mniemaniu, że to jest stróż miejski chrapliwym głosem kazał się onemu do domu prowadzić, ponieważ trafić do niego nie był w możności z powodu opilstwa. — Mniemany stróż okazał się jednak nieposłusznym i nie ruszył się z miejsca. — Obrażony

tem pan burmistrz podszedłszy bliżej laską uderzył zuchwalca. — Nagle z owego nocnego stróża robi się ogromne wilczyisko z straszliwemi pazurami w mgnieniu oka rzuca się na swoją ofiarę, powala na ziemię i kły w piersi zapuszcza. — Poznał Czeczota z kim ma do czynienia, żalonym głosem zaczął wołać ratunku, ale głos jego nie doleciał do mieszkańców w odległych chatach głębokim snem uśpionych — Bez przeszkod pożarł drapieżnik całego burmistrza, tylko skrawioną odzież i nogi w butach pozostawił.

Jakiś poeta zeszłego stulecia i prawdopodobnie w Glinianach urodzony, którego nazwisko jednak nie przeszło do potomności straszną przygodę burmistrza Czeczoty opisał wierszem jak następuje:

Dawnemi czasy,  
Gdy bory i lasy  
Otaczały Gliniany,  
A w nich ratusz drewniany

Wilk, głodem dręczony  
I chciwością wiedziony,  
Ażeby w nich co zdybał,  
Po pod ratusz przychybał.

W mieście ciemno i glucho,  
Wszędzie od mrozu sucho;  
Jednak w obawie rany  
Przytulił się do ściany.



Drzemał i czekał,  
A choć pies zaszcekał,  
On w chęci zdobyczy  
Słuchał, czy wieprz nie zakwicz.

W rogu uliczki  
Migał blask świeczki,  
Tam burmistrz Szymanek —  
Pił miodu dzbanek.

A gdy zdjęła ochota  
Szedł do domu Czeczota,  
I, nogi stawiając ukosem,  
Mruczał pod nosem.

Wilk siedzi i siedzi,  
Z myślami się biedzi,  
Czy będzie zaczepiony  
I do kozy wsadzony?

Czeczota idzie i gwarzy,  
Gniew mu z oczu się żarzy:  
“Zbiję, stłukę Małgosię,  
Gdy nie upiekła prosię.”

Aż nadszedł do ściany,  
Gdzie wilk był schowany  
— A tużeś mi, Tomku!  
Prowadź mię do domku.

Wilk nie słyszał o Tomku,  
Nic nie wiedział o domku,

Siedział więc cicho,  
— Myśląc: weźmie go lichy.

— Cóżto nie znasz pana twego  
I obowiązku swojego?  
Zakrzyknął Czeczota  
I kijem go grzmota.

Hola, Czeczoto!  
Zginiesz, niecnoto!  
Warknął wilczysko  
I najeżył karczysko.

Wtem dobry skok daje,  
Na dwóch łapach staje,  
Kły zapuszcza w Czeczotę,  
— Wybił z głowy ochotę.

Gwałtu! gwałtu! la Boga!  
Komu ludzkość droga,  
Niech mnie ratuje,  
Nad duszą się zmiłuje!

Lecz wielka zamieć wiała,  
Nic słyszeć nie dała,  
Wszyscy mocno spali  
I pomocy nie dali.

Padł śmiercią okrutną,  
A tę wieść smutną  
Wiem od obywateli,  
Co jak ja o niej słyszeli.



